STOLICA

Wystawa róż w Starej Pomarańczarni (patrz str. 8–9)

Fot. K. Jarochowski

Nr 34 (1549) ● Rok XXXII ● Warszawa, 21 sierpnia 1977 r. ● Cena 3 zł

WCZASOWE SNY I REALIA

O tej porze roku w działach socjalnych chwila wytchnienia. Jeszcze tylko trafiają się pojedyncze sprawy: ktoś musi zrezygnować, inny pyta, czy nie ma zwrotów. Dla wprawnej pani socjalnej to już żadna praca. Najgorzej, gdy przychodzi główne uderzenie przed letnim sezonem. A zaczyna się ono już w marcu. Każdy pracownik ma wówczas możliwość pomarzyć: 1–15 lipca w Juracie.

Wszystkie życzenia zostają przyjęte i pani socjalna wespół z radą zakładową konfrontuje zapotrzebowanie załogi ze zdobytymi wczasami. zagląda się także do karty socjalnej pracownika, kiedy ostatnio był na wczasach, bo jeżeli w ubiegłym roku, szanse ma małe, chyba że coś zostanie, ale to się raczej nie zdarza.

Pani socjalna otrzymuje trochę miejsc z zarządu głównego, trochę ze związku zawodowego, trochę kupi w Funduszu Wczasów Pracowniczych, „Gromadzie", „Turyście". Najpewniejszą bazą jest własna dzierżawa u górala, choć prymitywna, zdobyta ogromnymi zachodami i znajomościami. Ale to wszystko okazuje się mało dla załogi. Penetruje więc pani socjalna Polskę wzdłuż i wszerz, nawiązuje rozmowy z wojewódzkimi biurami turystycznymi, które obrastają pychą i urzędnikami. Są właściwie tylko pośrednikami między właścicielami domów a zakładami pracy, pobierając z tego tytułu procent. Przedstawiciel takiego biura pojawia się na początku turnusu, zbiera pieniądze za zameldowanie, za taksę klimatyczną i znika. Wczasowicz pozostawiony jest własnemu losowi, humorom gospodarza i ajenta-żywiciela. Toteż mało kto chce jeździć na takie wczasy. Bo gdy raz zakosztuje wegetowania w małych, wilgotnych pokojach ze światłem u sufitu o mocy 25 W z oknem wprost na śmietnik lub hodowlę norek – boi się prywatnych kwater. Jeżeli gospodarz ma dobry humor to poprosi na telewizję, a jeżeli mu się wczasowicze nie spodobają, bo np. domagają się papieru toaletowego, gotów jest nawet obić wannę dyktą – i o takich przypadkach się słyszy. Najsmutniejsze jest szantażowanie pani socjalnej zerwaniem umowy, bo trafia się lepszy zakład pracy... Śnią się więc socjalnym Kaszubi i Górale, a w chwilach wolnych od pracy oddają się te panie marzeniom, aby mogły wybierać ze stosu ofert i nie walczyć o każde miejsce wczasowe.

– Jak związki zawodowe widzą przyszłość wczasowego wypoczywania? – pytam wiceprzewodniczącą Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych Annę Ostrowską.

– Podstawową bazą winny być ośrodki FWP i zakładowe.

– Kiedyś narzekano na FWP a jednak wygrał on w konkurencji z wojewódzkimi biurami turystycznymi nie tylko ceną (wczasy w FWP I kategorii kosztują 1700 zł, „Gromady" już 3 tysiące), ale również wyższym poziomem usług.

– Fundusz Wczasów Pracowniczych wyrósł na gruncie działalności społecznej i choć teraz jest na własnym rozrachunku gospodarczym, nie zmienił stylu pracy. Przyjeżdżający do ośrodka FWP ma świadomość, że ktoś go oczekuje, przywita, że robi wszystko, aby jego pobyt wypadł najlepiej. W razie konfliktów zawsze istnieje możliwość interwencji u wybranego spośród wczasowiczów samorządu lub kierownika ośrodka. A cena jest wynikiem lepszej gospodarności i mniejszych narzutów na administrację.

– Toteż panie socjalne rozglądają się teraz nie tylko za wczasami atrakcyjnymi, lecz i tanimi. Można wówczas obdzielić posiadanym funduszem więcej osób.

– Bo nowy system finansowania działalności socjalnej, jaki obowiązuje od 1974 r., dał im większą samodzielność. Zakładowy Fundusz Socjalny we wszystkich zakładach pracy stołecznego województwa warszawskiego wyniesie w tym roku 1 miliard 200 milionów zł. W większości zakładów odpisy na cele socjalne od funduszu płac wynoszą 2%. Tym zakładom staramy się pomóc, które mają mniejszy fundusz socjalny, kierując do nich wczasy głównie z FWP. Ponadto od maja 1974 r. działa przy Wojewódzkiej Radzie Związków Zawodowych Bank Rezerw Wczasowych.

– Spodziewałam się zastać tutaj sztab ludzi, dalekopisy, maszynistki a tymczasem jeden pracownik pan Tadeusz Aluchna załatwia całą sprawę.

– I to na pół etatu. Siedzi przy telefonie, przyjmuje zgłoszenia wolnych miejsc, które następnie ogłaszamy na łamach „Głosu Pracy". Dzwonią do naszego banku nie tylko z województwa warszawskiego, ale ze słupskiego, radomskiego, poznańskiego.

– W dni, kiedy są te ogłoszenia, gazeta jest nie do zdobycia.

– Coraz większą popularnością cieszy się nasz wczasowy bank. W pierwszym roku działania pośredniczyliśmy w załatwieniu 18 tysięcy miejsc, w pierwszym półroczu tego roku – już w 36 tysiącach. Do tej pory zgłoszono do banku 150 tysięcy miejsc wczasowych wartości 230 milionów złotych. Jakaż to oszczędność dla zakładów, które mogą sprzedać miejsca wczasowe nie wykorzystane przez własną załogę i jaka społeczna korzyść dla tych, którzy nie mają własnej bazy.

– Ośrodki wypoczynkowe warszawskich zakładów pracy znajdują się już w większości atrakcyjnych miejscowości. Czy ekspansja trwa?

– Można powiedzieć, że jesteśmy już wszędzie, w Rabce, Muszynie, Krynicy, Piwnicznej, Korbielowej, Kołobrzegu, Ciechocinku, Jastrzębiej Górze, Krynicy Morskiej. Zakłady pracy stołecznego województwa posiadają 362 ośrodki wypoczynkowe o 45.730 miejscach, z czego jednak tylko 10 tysięcy miejsc nadaje się do wykorzystywania przez cały rok. Jest to duża strata ekonomiczna i społeczna. Nowe ośrodki już budowane są z myślą o całorocznej pracy, należałoby dostosować do funkcjonowania przez cały sezon również stare domy wypoczynkowe, które często znajdują się w miejscowościach o wysokich walorach zdrowotnych.

– W klimacie bardzo odmiennym od warszawskiego proces adaptacji organizmu człowieka trwa dłużej, toteż dwutygodniowy wypoczynek bywa za krótki. Za minimum uznaje się trzy tygodnie.

– Wydłużenie turnusów wczasowych uzależnione jest od wielu czynników, przede wszystkim od bazy socjalnej oraz innego planowania urlopów. Obecnie ponad 50% urlopów przypada na lipiec i pierwszą połowę sierpnia. Przy takim spiętrzeniu trudno w sezonie obdzielić wszystkich dwutygodniowymi wczasami a co dopiero trzytygodniowymi. natomiast już od września wiele ośrodków zakładowych organizuje trzytygodniowe wczasy profilaktyczne. Główna uwaga organizatorów wypoczynku skierowana jest obecnie na podnoszenie jakości wczasów, bo nie wystarczy ludzi wysłać w nieznane i niech ich cieszy tylko klimat. Za mało jest ośrodków wypoczynkowych, do których bez narażenia się kierownictwu i wczasowiczom mogłyby pojechać rodziny z małymi dziećmi.

– Wczasy w zakładowym ośrodku wypoczynkowym mają wiele stron korzystnych, ale i pewien minus, po pewnym czasie mogą znudzić się załodze.

– W przyszłym roku zamierzamy wprowadzić giełdę wczasową, aby zakłady pracy mogły między sobą wymieniać ośrodki wypoczynkowe na jeden lub kilka sezonów. Na pewno uatrakcyjni to wypoczynek, liczymy też; że nastąpi konfrontacja gospodarności i zaradności poszczególnych ośrodków.

W DRODZE DO SUKCESU

Każdy z nas, generalnie rzecz biorąc, ma jedną zasadniczą wadę wypływającą z poczucia upływającego czasu – chciałbym mieć wszystko co dobre szybko, w najlepszym gatunku, w dużych ilościach i jak najmniejszym wysiłkiem. Czekanie na wymarzoną stabilizację z czasem przeradza się w zdenerwowanie i poszukiwanie źródeł własnego a często i ogólnego niepowodzenia.

Czyżby decyzje były fałszywe?

Ewidentna konieczność rozwoju rolnictwa, hodowli, przemysłu czy budownictwa nie ulega dla nikogo kwestii. Ilu z nas czeka od lat na własne mieszkanie! Kto nie ma kłopotów z codziennym zaopatrzeniem domowej spiżarni! Jak często klniemy mało nowoczesny lub źle wykonany przedmiot!

Jeśli nie decyzje to... może ich realizacja?

Oczywistym jest, że wszystkiego jednocześnie zrealizować nie można. Przemyślana kolejność działania i szybkie wyciąganie wniosków z niepowodzeń stanowią podstawowy czynnik sukcesu. Drugim nie mniej ważnym jest częsta i wnikliwa kontrola. Przypomnijmy choćby lata szkolne, w których najlepiej opanowywało się przedmiot wykładany przez najsurowszego nauczyciela... W życiu jest podobnie. Tam, gdzie nie ma miejsca na niedokładność, lenistwo i automatyczne powielanie błędów każde działanie zaczyna dawać niespodziewanie szybkie wyniki.

A jak jest na naszym podwórku?

Niedawno odbyło się plenum Komitetu Warszawskiego PZPR poświęcone realizacji uchwał V i VI Plenum KC PZPR. Inaczej mówiąc oceniano osiągnięcia i rozpatrywano trudności występujące aktualnie w podstawowych dziedzinach życia gospodarczego województwa.

Plan rozwoju rolnictwa opracowany do 1985 roku przyniósł wyszczególnienie i kolejność realizowania potrzeb. Już obecnie zgromadzono środki inwestycyjne na budowę ferm hodowlanych i wzmocnienie przetwórstwa rolno-spożywczego, choćby kompleksu jajczarsko-drobiarskiego w Karczewie, nowych zakładów mięsnych, garmażeryjnych, piekarni itd. Powstanie ponad 270 gospodarstw specjalistycznych jest również zapowiedzią pomyślnej przyszłości. Nie wszystko jednak jest na piątkę. Ciągle występują kłopoty z terminowym zagospodarowaniem ziemi przejmowanej od indywidualnych rolników, z niedoborem wysoko kwalifikowanej kadry w całej gospodarce żywnościowej i aktywizowaniem praktycznych działań zapewniających stabilizację produkcji.

Brak równowagi rynkowej odczuwamy dotkliwie nie tylko w rolnictwie.

Stołeczny przemysł pomimo przekroczenia zadań planowych o 1,8 mld zł, pomimo dodatkowych zobowiązań załóg też nie jest bez skazy. Sami wiemy najlepiej ile trzeba się nabiegać, by kupić tę najpotrzebniejszą w danym momencie rzecz. Ot, choćby kuchenkę gazową!

Systematyczny wzrost jakości, rozszerzanie asortymentu produktów, szybkie reagowanie na potrzeby odbiorców tak krajowych jak i zagranicznych, niestety, jest wciąż jeszcze piętą achillesową wielu zakładów.

Handel, pomimo wyraźnej ostatnio poprawy, dorzuca do tego koszyczka trudności własny kamyczek. Nierytmiczność dostaw, uszkodzenia, wady wynikające z niedowładu dystrybucji i placówek handlowych czy choćby nierzetelność i niefachowość obsługi

– Nie zawsze tam, gdzie są marmury i dywany, bywa dobrze. Najmilej wspominamy te domy wczasowe, w których panuje miła atmosfera, życzliwość, w których nie jest nudno i w których jest smaczna kuchnia. Niestety, wiele zakładów uważa, że wystarczy wybudować dom, w nim pokoje sypialne, jadalnię i świetlicę z telewizorem. na przykład w Muszynie ulokowało swoje ośrodki wiele warszawskich potentatów przemysłowych i nie pomyślano o żadnych wspólnych urządzeniach sportowych i rekreacyjnych, jak boisko, sala widowiskowa, basen. Tylko orkiestra wczasowa obsługująca wszystkie wieczorki zapoznawcze jest wspólna. Jeżeli nie mogą dogadać się tam w Muszynie, to może w Warszawie spróbowaliby porozumienia, chodzi przecież o dobro własnych pracowników.

– Pierwszy krok zrobiono już w Hucie Szkła w Wołominie, która ma swój ośrodek wczasowy w Barcicach nad Bugiem w województwie ostrołęckim. W tym samym rejonie 14 zakładów warszawskich posiada swoje ośrodki wypoczynkowe i każdy ogrodzony, gospodarzy się na własną rękę. żaden z tych ośrodków nie jest w stanie sam wybudować basenu, boisk do siatkówki, kortów tenisowych, kawiarni, sali widowiskowej, zaproponowała więc huta w Wołominie wspólne działanie. Wojewoda bardzo poparł inicjatywę i obiecał daleko idącą pomoc. Nas bardzo cieszy współpraca między zakładami pracy, ośrodkom ambitnie działającym staramy się pomóc.

Z każdym rokiem wzrasta liczba osób ubiegających się o skierowanie na wczasy (w 1977 roku o 11% w stosunku do roku ubiegłego) i co roku mniej jest podań nie załatwionych. Ponad połowa zatrudnionych – 630 tysięcy wypoczywa – w tym roku na wczasach, rozsmakowani w przebywaniu na świeżym, czystym powietrzu, wśród pól i lasów, nad wodą, w ciszy, gdy powrócą do Warszawy szybko da znać o sobie zmęczenie. Toteż w równym stopniu jak wypoczynkiem urlopowym nasze władze zajęły się regeneracją sił w każdy wolny od pracy czas.

BARBARA UBYSZ

wpływają niekorzystnie na atmosferę społeczną.

Budownictwo znowu nie wykonało planu półrocznego, a przecież do roku 1985 każda polska rodzina powinna otrzymać samodzielne mieszkanie. Powody istniejącej sytuacji są ogólnie znane: opóźnienia w uzbrajaniu terenów, niedostateczne wyposażenie w sprzęt techniczny, braki w zatrudnieniu... Podjęte ostatnio decyzje o przesunięciu części potencjału budowlanego z obiektów przemysłowych do budownictwa mieszkaniowego, o powstaniu Zjednoczenia Robót Inżynieryjnych oraz o przekazaniu dla potrzeb Warszawy sporej ilości sprzętu ciężkiego i elektronarzędzi sprawdzą się dopiero w ostatnich dwóch kwartałach bieżącego roku.

Osiągnięcie sukcesu tam, gdzie go dotychczas nie widać zależy w dużej mierze od sposobów, metod i częstotliwości kontroli. Nie wstydźmy się jej i nie uciekajmy przed nią. Stanowi ona bowiem wyraźną pomoc w pracy na każdym najmniej znaczącym odcinku. Od instancji i organizacji partyjnych zależeć będzie jakość i efektywność tej pomocy.

Kn

SZÓSTY FESTYN „TRYBUNY LUDU"

Miniona sobota i niedziela minęły w Warszawie pod hasłem dorocznego święta „Trybuny Ludu" - organu KC PZPR. Setki różnego rodzaju imprez, które odbyły się w ciągu półtora dnia, jako że festyn rozpoczął się w sobotę po południu, przyciągnęły tysiące warszawiaków i przyjezdnych. Nie odstraszyła ich brzydka pogoda, a chwilami wręcz ulewny deszcz. Oklaskiwano zespoły artystyczne, brano udział w licznych spotkaniach zespołu redakcyjnego gazety z jej Czytelnikami, w publicznej prezentacji dorobku z różnych dziedzin naszego życia, w szerokiej otwartej dyskusji o różnych problemach naszego kraju.

Olbrzymie zainteresowanie wzbudziły zorganizowane z okazji święta wystawy i ekspozycje. Szczególnie kilka z nich cieszyło się niebywałym powodzeniem. Były to przygotowane w salach Pałacu Kultury i Nauki trzy ekspozycje z cyklu 60-lecie Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej oraz wystawa nowości przemysłu maszynowego pod hasłem: „Wszystko dla domu".

Wiele nowości przygotował także dla uczestników wielkiego festynu warszawski handel. I tu należy podkreślić z uznaniem zaangażowanie z jakim od sześciu lat warszawskie przedsiębiorstwa handlowe biorą udział w obchodach święta „Trybuny Ludu". Piękne, pomysłowe stoiska, dobre zaopatrzenie, miła i sprawna obsługa.

Najbardziej pomysłowe jednak stoiska handlowe miała w tym roku warszawska Centrala Rybna i WSS „Społem". Sam opis pomysłów wystroju plastycznego tych stoisk zabrałby jednak zbyt wiele miejsca, stąd też wyrażamy tylko słowa uznania pracowniom plastycznym tych przedsiębiorstw za ich pomysłowość i naprawdę dobrą pracę.

Dowodem zaś jak warszawiacy lubią tego rodzaju festyny oraz różnego rodzaju targi i kiermasze niech będzie jeden tylko przykład. Oto piękny pawilon Centrali Rybnej w Warszawie zbudowany w kształcie statku. Przy stoiskach mimo ulewnego deszczu przez całe półtora dnia tłumy kupujących. Towar w osiemdziesięciu kilku procentach taki sam, jak w stołecznych sklepach na co dzień. Reszta to nowości i dostawy z innych regionów kraju. W samą tylko sobotę cztery stoiska tego pawilonu sprzedały towaru za ponad 400 tysięcy złotych. W ciągu całego festynu obrót handlowy statku Centrali Rybnej wyniósł ponad milion złotych a zawarto około 200 tysięcy transakcji. No i wreszcie wielkie słowa uznania dla wszystkich organizatorów festynu. Dosłownie w ciągu kilkunastu minut od chwili rozpoczęcia opadów organizowano występy i spotkania w różnego rodzaju salach pod dachem i natychmiast po przejściu deszczu przenoszono je na place i estrady. Słowa uznania należą się również pilnującym porządku publicznego. Jednym słowem Warszawa mimo deszczu godnie i radośnie uczciła święto „Trybuny Ludu".

(Wś.) A oto festyn w obiektywie naszego fotoreportera Janusza Pokorskiego.

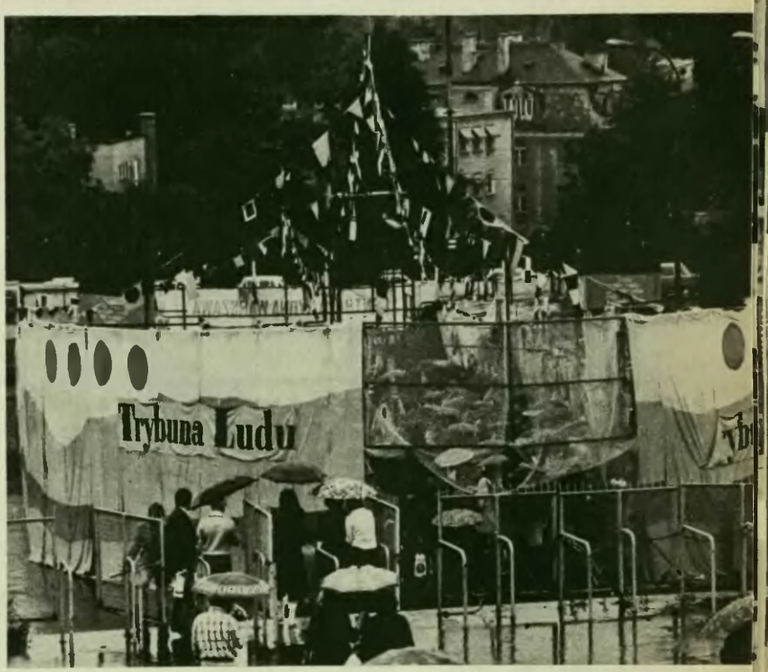

INTEGRACJA NAUKI JEST PROBLEMEM NASZYCH CZASÓW

Rozmowa z prof. Jerzym Buciem, dyrektorem Instytutu Mechaniki Precyzyjnej, przewodniczącym Komisji Nauki Komitetu Warszawskiego PZPR.

„Stolica" – W Warszawie koncentruje się około 30 procent potencjału naukowego kraju, działalnością badawczą i rozwojową zajmuje się około 100.000 osób, pracuje tu jedna trzecia profesorów i docentów. Warszawskie środowisko naukowe odgrywa wiodącą rolę w rozwiązywaniu najważniejszych problemów naukowo-badawczych i gospodarczych kraju. Stolica stanowi więc największy ośrodek naukowy i ponosi odpowiedzialność za rozwój i wykorzystanie nauki. Problemy warszawskiego środowiska naukowego są charakterystyczne dla środowiska naukowego całej Polski. Który z tych problemów uważa Pan, jako przewodniczący Komisji Nauki KW PZPR, za najważniejszy dla efektywnego funkcjonowania nauki?

Prof. Jerzy Buć – Jest to sposób zarządzania i planowania badań naukowych. Sprawy te stały na ostatnim Plenum Komitetu Warszawskiego, poświęconym nauce i przy wielu innych okazjach od wielu lat. Co pewien czas władze państwowe próbowały, z lepszym lub gorszym skutkiem, rozwiązywać ten problem i w różny sposób powiązać placówki naukowo-badawcze z zakładami przemysłowymi. W latach sześćdziesiątych był to na przykład system umów. Początkowo placówki przyjmowały go niechętnie. Uważano, że znacznie wygodniej otrzymać dotacje państwowe niż rozliczać się z otrzymywanych nakładów. Niemniej system ten, cokolwiek by o nim powiedzieć – zagrał. Szczególnie w tych placówkach, które rzeczywiście miały co dać gospodarce, co upowszechnić.

Po pewnym czasie zaczęto dostrzegać, że system ten ma i negatywne skutki, że ogranicza działalność placówek do jednej branży, że wychodzą one rzadziej z szerszymi problemami. W końcu lat sześćdziesiątych wytworzyła się taka sytuacja, że umowy były realizowane, że nawet w większości przypadków wyniki porozumień były wprowadzane do produkcji, natomiast problemy stymulujące postęp w skali kraju, resortu – podejmowane były rzadko. W związku z tym zaczęto szukać takich rozwiązań planistycznych, a zatem sposobu finansowania, który by umożliwił większą skalę integracji. Tym rozwiązaniem stały się, dyskutowane w końcu lat sześćdziesiątych, problemy węzłowe. Początkowo było ich niewiele, bo większość placówek nie kwapiła się z ich podejmowaniem. Podobnie jak w przypadku umów uważano, że jest to dalsze ograniczanie swobody badawczej, nadmierne uzależnienie od tego, który problem będzie prowadził. Te obawy były dość powszechne. W pewnym momencie – a byłem w jakimś skromnym stopniu współtwórcą tej idei – zgłosiło się tych placówek tylko 20-30. A proszę popatrzeć – w roku 1970, kiedy liczba problemów węzłowych zmniejszyła się – zgłosiło się 400 placówek. Niezależnie od dostrzegania strony finansowej – integracji nakładów na rozwiązywanie tych problemów w placówkach dostrzeżono, że jest to uczestnictwo w czymś bardzo ambitnym, widocznym nie tylko na wąskim branżowym podwórku.

Zaczynamy siódmy rok funkcjonowania tego systemu, niektóre tematy zostały podjęte dopiero przed dwoma laty, a praktycznie rzecz biorąc, nie ma on już przeciwników. Idea ta poszła nawet o krok dalej – zostały postawione problemy rządowe, jak budownictwo mieszkaniowe, walka z rakiem, elektronizacja, która staje się faktem, przetwórstwo miedzi, gospodarka wodna – problemy na skalę ogólnokrajową i szerszą. Uważam to za jedno z największych osiągnięć ostatnich lat, pozwala to bowiem coraz efektywniej wykorzystywać nakłady na naukę.

Są różne opory – że na przykład za duża biurokracja. Rzeczywiście, w niektórych przypadkach za duża. Ale nie wolno zapominać o tym, że z nakładów trzeba się rozliczać. Uważam, że przyjęcie tego systemu dokonało pewnego przełomu psychologicznego w środowisku naukowym. Idzie o to, że szeroko rozumiana integracja jest problemem nauki naszych czasów. Badania stają się coraz kosztowniejsze, coraz większe są ich skutki. Gdy więc mówimy o integracji, to nie idzie tylko o problemy węzłowe, rządowe i kumulowanie środków na tych kierunkach – ale o integrację w sferze organizacji, gdzie zazębiają się tematy i współpraca ludzi.

Były próby tworzenia różnych form organizacyjnych na przykład instytutów uczelniano-przemysłowych. Próby te nie sprawdziły się, bo nie były podporządkowane określonej idei – czemu to ma służyć, jaki problem naukowy ma być rozwiązany. Natomiast pozytywnym przykładem skutecznego w praktyce rozwiązania jest Centrum Naukowo-Produkcyjne Półprzewodników, które objęło zakład przemysłowy, przemysłowy instytut naukowy, a także instytut PAN. Oczywiście, jak zawsze i wszędzie, w pierwszym okresie docierania były i w tym przypadku trudności. Dziś nikt już jednak nie zaprzeczy, że jest to instytucja, która osiągnęła bardzo dobre rezultaty badawcze i produkcyjne, niektóre na poziomie światowym. Byłem tam w ubiegłym roku z posłami z Komisji Sejmowej Nauki i Postępu Technicznego. Stwierdziliśmy, że integracja jest faktem dokonanym, a postęp osobiście mnie zaskoczył.

Podobne fakty zdarzają się coraz częściej. Trzeba jednak zawsze pamiętać, że po pierwsze – integracja musi mieć precyzyjnie określony cel, po drugie – należy zwrócić uwagę na zaangażowanie ludzi. Jeśli są przekonani – potrafią w najtrudniejszych warunkach uzyskać wspaniałe rezultaty, jeśli nie – trudno jest coś osiągnąć.

– W Warszawie znajduje się największe w kraju środowisko naukowe, a Warszawa, jej społeczeństwo, nowoczesny przemysł, budownictwo, gospodarka miejska i inne dziedziny życia stoją przed problemami charakterystycznymi dla wielkich aglomeracji. Były dość szerokie plany udziału stołecznej nauki w rozwiązywaniu tych problemów...

– Oczywiście, placówki naukowo-badawcze powinny również służyć swemu miastu, ale jest to zależne od obu stron, m.in. od chęci współpracy i od umiejętności stawiania przed placówkami problemów. Wszędzie tam, gdzie była świadomość celu – ciągle wracam do tego z uporem – z reguły były rezultaty. Takich przykładów mógłbym przytoczyć bardzo wiele. Można wymienić związki Politechniki Warszawskiej z przemysłem stołecznym, które już dziś wyszły poza konwencjonalne ramy. Niektóre wydziały tej uczelni współpracują z zakładami wolskimi, jak „Świerczewski", „Nowotko" czy „Kasprzak" w zakresie szerszym niż obejmujący tylko czysto techniczne rozwiązania problemu badawczego i przemysłowego.

– A Pański instytut?

– My znamy potrzeby Warszawy, pozostające w zakresie naszych specjalności i pewne tematy z góry wpisujemy w ramy odpowiednich problemów. Do takich tematów należy na przykład antykorozyjne zabezpieczenie budowli, nawet pomników. Kto na przykład wie, że pomnik Dzierżyńskiego, czy warszawska Syrena były przez nas brązalowane.

Placówek naukowych, wykonujących różne zlecenia dla miasta, jest znacznie więcej. Dzisiaj nie ma w Warszawie zakładu, szczególnie z preferowanych w naszym województwie gałęzi przemysłu, jak motoryzacja, elektronika, chemia, żeby nie był związany na co dzień z warszawskim zapleczem naukowym. Gdybyśmy na przykład zrobili w tej mierze porównanie z okresem sprzed dziesięciu lat – to postęp okazałby się zdumiewający, aczkolwiek nie satysfakcjonuje jednej ani drugiej strony. To niezadowolenie jest według mnie czynnikiem twórczym. Nie zapominamy nigdy, że potrzeby są coraz większe i że ciągle powstają nowe problemy. Weźmy taki przykład. Kiedyś problemem w zakresie badań antykorozyjnych były dla nas ściany osłonowe, czy pomniki – teraz kwestią jest zabezpieczenie mostu Toruńskiego. Przed podobną zmianą skali staje wiele innych placówek badawczych. Trzeba to określić tak – przedtem była to skala drobnego fragmentu – teraz skala całości, na przykład zabezpieczenie wszystkich zabytków Warszawy.

Czyni się wiele, żeby działania na rzecz Warszawy były coraz bardziej konkretne. Jeśli przejrzeć materiały ze wszystkich plenów Komitetu Warszawskiego partii, poświęcone nauce, czy rozwojowi przemysłu, służby zdrowia, oświaty i kultury – jednym słowem, dotyczące wszystkich podstawowych dziedzin życia – to widać, że zawsze pamiętano o udziale nauki w rozwiązywaniu tej problematyki. Można to dostrzec zarówno we wszystkich decyzjach kierunkowych jak i dotyczących spraw bieżących.

Trzeba też powiedzieć, że od wielu lat doceniają ten problem władze miasta. Z inicjatywy Stołecznej Rady Narodowej powstała przed kilku laty komórka, na razie nieliczna, która zajmuje się niejako ewidencjonowaniem potrzeb, wymagających naukowego rozwiązania. Jest to bardzo ważne, żyjemy przecież w systemie planistycznym, a pojawiają się nowe problemy związane z urbanizacją, uprzemysłowieniem, z rozwojem ludności. Wydawałoby się – samo ewidencjonowanie – błahe, statyczne. Nieprawda. Polega ono również na wskazywaniu, co w danym problemie trzeba jeszcze rozwiązać, na organizowaniu do tego wszystkich zainteresowanych i szukaniu dróg rozwiązania. W jednym przypadku wystarczy właściwe sformułowanie tematu i skierowanie pod właściwym adresem, w innym trzeba powołać zespół, a być może nawet placówkę, kiedy indziej zaprosić do współpracy cały szereg instytutów nie tylko stołecznych, bo Warszawa nie posiada wszystkich specjalności – chociażby z zakresu inżynierii miejskiej.

Na zakończenie chciałbym powiedzieć, że środowisko naukowe jest świadome, że do nauki przywiązuje się coraz większe znaczenie i że podlega ona społecznej krytyce. Osobiście uważam to za rzecz bardzo słuszną. Z nauki nie można robić tabu, jak uważa część naukowców. Jest to dziedzina, która choć odgrywa rolę niepoślednią, bo stymulującą rozwój, jest wobec społeczeństwa dziedzina służebną.

Warto sobie w tym miejscu przypomnieć, że państwo stawiało istotne dla nauki problemy od samego początku przez wszystkie lata Polski Ludowej, zaś po roku 1970 nauka zyskała olbrzymi priorytet nie tylko deklaratywny, ale wymierny materialnie. Takich nakładów, jakie państwo ponosi dziś – blisko 2 procent dochodu narodowego – nie było od lat i niewiele państw, bardziej od nas rozwiniętych, może się takimi nakładami poszczycić. W sumie tworzy to bardzo dobrą atmosferę i prognozę dobrych warunków pracy w przyszłości.

– Dziękuję za rozmowę.

JANUSZ OLEKSIEWICZ

LIPCOWE WYCIECZKI

DO KULTURY

Wyjazdy, przyjazdy, goście w Warszawie, warszawiacy – w gościach, tradycyjne święta; liczne imprezy: także i na powietrzu, pod niebem, choć w tym to tegorocznym lipcu, powietrze było co nieco za zimne, a niebo zbyt chmurne. Niemniej „latoś" obrodziło – w kulturalne imprezy – i tak na przykład co bardziej wytrawni melomani mogli słuchać „Koncertów madrygalistów" w Kościele Ewangelickim, „Koncertów przy świecach" w łazienkowskiej Galerii Rzeźb, czy pod pomnikiem Chopina... Do wyboru było też, szczególnie w Święto Lipcowe, dużo różnych programów estradowych zaopatrzonych obrazowymi tytułami w rodzaju: „Dyskoteka pod chmurką" w Parku Szczęśliwickim, „Dyskoteka na murawie" we Włochach, „Dla każdego coś miłego". Można też było wybrać się z „Syreną" i „Orbisem" na objazd naszej stolicy (z kolacją) pn. „Warszawa nocą" za „US dol. 25 lub 825 zł", czy na popołudniowe „Bigos party" w Kampinosie („US dol. 23"). Uwaga! – tu działa konkurencyjna podziemna obsługa turystyczna, które to podziemie, jak pisał ostatnio Mariusz Ziomecki w „Kulturze" ma „układy z hotelami, własny system rezerwacji, jest w stanie załatwić wstęp do każdego muzeum". Bo niektóre muzea, jak wiemy, limitują liczbę biletów i trudno je zdobyć od ręki, w Pałacu Wilanowskim, jak i w Łazienkach, od dawna istniała zresztą konieczność ograniczenia liczby turystów. Masowa turystyka grozi i szkodzi zabytkom. Co prawda nie aż tak, jak w Zagaju w województwie kieleckim, gdzie XVIII-wieczny dwór zabytek gnił, niszczał, powoli się rozlatując. W połowie lipca w telewizyjnym „Pegazie" mówiono na ten temat z wieloma ludźmi i z oskarżonym, dyrektorem tamtejszego PGR, któremu podlegał ów obiekt. Występujący tam także wojewódzki konserwator spokojnie przy tym opowiadał, że on nie widział przedtem tego dworu, nie był tam... (!). Czy rzecz dotyczy tylko dworu w Zagaju?... „Rozdawaliśmy te zabytki jak karty do remika, albo trociny w tartaku" – pisał B. Drozdowski w „Życiu Literackim" przy okazji tej samej sprawy... Nie mamy za wiele tych cennych, starych budowli. To nie Włochy i nie Paryż o wielkiej ilości skarbów architektury. Zabytki nadsekwańskiego miasta oglądaliśmy w lipcu na pomysłowej imprezie muzyczno-słowno-przezroczowej pt „Dla mnie Paryż", zorganizowanej w warszawskim Muzeum Literatury Niestety, piękne i różnorodne wiersze polskich poetów o tym mieście, recytowane w jednej manierze, jednostajnie interpretowane, brzmiały zbyt monotonnie. Ale za to w pobliżu Muzeum w galerii Desy – „Zapiecek" – to był dopiero Paryż! Panowie w gali, panie w długich toaletach, jeden z naszych autorów „Wspomnień warszawskich" Lubicz-Lisowski pojawił się bez niemodnej już brody, lecz z sumiastym wąsem. W tej właśnie galerii odbywał się wernisaż wystawy grafiki pani Liliany Schaefer z Francji. Subtelne, pełne poezji i fantazji, świetne techniczne prace artystki, o której wstęp do kartki katalogowej mówi dość intrygująco, że „interesuje się szczególnie monstrami i chimerami, osmozami ludzi i zwierząt".

W lipcowe dni zjechała do Warszawy nie tylko zagranica, ale i krajowe teatry z terenu. Goszczący w stolicy Teatr im. Norwida z Jeleniej Góry, kierowany przez Alinę Obidniak, przywiózł bardzo interesujący spektakl „Ślepców" zapomnianego już prawie u nas Maeterlincka – w układzie tekstu i reżyserii (debiut) znanego krytyka muzycznego Lecha Terpiłowskiego, a Teatr im. Siemaszkowej z Rzeszowa – „Ryszarda III" – Szekspira. Dobry to pomysł te przyjazdy, choć chętnie widziałoby się w przyszłości i inne też teatry i to nie tylko w ramach „akcji letniej". Premiery warszawskie szerzej przedstawimy w recenzjach już po wakacjach, a dziś tylko gratulujemy Teatrowi na Woli spektaklu: „Przedstawienie «Hamleta» we wsi Głucha Dolna" – Brešana, a dyrektorowi tej placówki Tadeuszowi Łomnickiemu składamy serdeczne życzenia z okazji 50-tej rocznicy Jego urodzin

Lipiec – to i Nagrody Ministra Kultury i Sztuki. Wśród laureatów w dziedzinie literatury znaleźliśmy nazwiska naszych współautorów, m.in. Haliny Auderskiej, Lesława M. Bartelskiego Marii Szypowskiej, Stefana Wiechec-kiego (Wiecha). Składamy Im wszystkim – szczere gratulacje

KRYSTYNA KOLIŃSKA

W LETNIM SŁOŃCU

Ulica Marszałkowska

Stare Miasto

Muranów – ul. Esperanto

Zdjęcia: K. Jarochowski, J. Pokorski

DIALOG JUBILEUSZOWY

„Stolica": Obchodził Pan niedawno, zwracamy się do Jana Wojewódki, 30-lecie działalności impresaryjnej i 20-lecie współpracy z Pagartem. Był Pan tym, który jako pierwszy zaczął sprowadzać za ocean artystów z kraju. Zanim jednak nawiążemy do tego bez wątpienia imponującego etapu w Pana działalności, zapytamy o pionierski okres pracy impresaryjnej. Podobno z pierwszymi swoimi imprezami jeździł Pan już w połowie lat 1940-tych do Polaków pracujących w kopalniach złota na dalekiej północy Kanady.

Wojewódka: To były rzeczywiście moje dziewicze kroki w zawodzie organizatora imprez. Na pierwszy ogień poszły występy grup estradowych złożonych z polskich artystów przebywających na terenie USA i Kanady. W ich skład wchodziły m.in. śpiewaczki Weronika Połubińska i Wanda Stankiewicz oraz założony przeze mnie chór rewelersów „Wesoła Czwórka Lotników". Byłem zarazem jednym z wykonawców.

– U kogo Pan zdobywał ostrogi impresaria?

– U Ludwika Kowalskiego, impresaria słynnego Zbyszka Cyganiewicza... Był on zarazem założycielem Towarzystwa „Polonia Opery Company" z siedzibą w Nowym Jorku. To właśnie Kowalski sprowadził mnie po ostatniej wojnie z Kanady do Stanów i obdarzył pałeczką dyrygencką (w Kanadzie ukończyłem konserwatorium), abym pod auspicjami wspomnianego Towarzystwa – którego był impresariem – popularyzował polską muzykę. Dyrygowałem wszystkimi operami Moniuszki na koncertach organizowanych m.in. w chicagowskiej Civic Opera i nowojorskiej Carnegie Hall. Po śmierci Kowalskiego kontynuowałem jego działalność impresaryjną. Współpraca z nim pozwoliła mi zgłębić tajniki tej profesji. Kowalski uprawiał niewdzięczną robotę kulturalną i umarł w nędzy. Był to przykład odstraszający, niemniej – zaryzykowałem.

– Dwadzieścia lat temu sprowadził Pan pierwszych wykonawców z Polski.

– Był to zespół „Wagabundy". Dodam, że zaproszenie artystów z kraju było wtedy rzeczą ryzykowną – ówczesny klimat polityczny nie sprzyjał takiemu przedsięwzięciu. Moja inicjatywa spotkała się z objawami dezaprobaty ze strony niektórych kręgów emigracji. Były nawet próby bojkotu imprez z kraju. Z determinacją szedłem dalej drogą, którą wybrałem.

– Czy z perspektywy czasu można się pokusić o stwierdzenie, że zespoły z Polski potrafiły przerzucić pomost między krajem i Polonią?

– Z całą pewnością można powiedzieć, że polscy artyści mieli poważny wpływ na zbliżenie Polonii z krajem. Rodacy za oceanem mogli poznać plejadę polskich wykonawców, a poprzez programy satyryczne – ale nie tylko – przybliżyć się do spraw nurtujących polskie społeczeństwo. W ciągu 20 lat sprowadziłem kilkuset wykonawców z kraju – artystów estrady, sceny, cyrku i filmu – wśród których znaleźli się m.in. Fogg i Ćwiklińska, Wiech i Sempoliński, Chór Słowików Poznańskich Stuligrosza i Gawęda. Ta działalność ma swoją podszewkę statystyczną. Trasa tournée, którą odbyłem z polskimi artystami w ciągu dwóch dziesiątków lat, równa jest mniej więcej 20-krotnemu opasaniu równika...

– Jak Pan obecnie ocenia możliwość prezentowania polskich imprez w USA i w Kanadzie?

– Dość pesymistycznie. Atrakcyjność solistów i zespołów z Polski ewidentnie zmniejszyła się. Coraz więcej amerykańskich rodaków odwiedza kraj i ogląda imprezy artystyczne na miejscu. Poza tym – w przeciwieństwie do kraju – na emigracji właściwie nadal nie ma widza o wyrobionym nawyku chodzenia do teatru czy na imprezy estradowe. Ujemnym zjawiskiem dla mnie jako impresaria jest zmniejszanie się w ostatnim czasie – wobec zaostrzeń imigracyjnych – liczby przyjazdów Polaków do Ameryki. Mam na myśli osoby przybywające z wizytą do krewnych, które chętnie chodziły na imprezy dla podtrzymania kontaktu z polskim teatrem i sztuką estradową, stanowiąc istotny czynnik frekwencji. Dodajmy, że Polacy, którzy przybywają do Stanów na pobyt stały z reguły szybko odchodzą od polskich imprez kulturalnych, wpadając w wir życia amerykańskiego.

– Jakiego typu imprezy mogą liczyć na powodzenie za oceanem?

– Głównie rozrywkowe i widowiskowe. Teatr jako taki nie ma większych szans powodzenia – mam tu na myśli opłacalność tej imprezy z punktu widzenia impresaria. Do nielicznych wyjątków zaliczyć można było przedstawienie „Zemsty" zaprezentowane przez warszawski Teatr Dramatyczny. Jeżeli kiedykolwiek teatr sprowadzony z Polski przyniósł mi niezły dochód, to był tym teatrem przede wszystkim zespół Dramatycznego z fredrowskim spektaklem. Niezależnie od troski o poziom artystyczny sprowadzanych imprez, muszę również baczyć na zdyskontowanie tego importu z kraju w walorach materialnych. To jest mój chleb. Gdy już jesteśmy przy tym temacie, nadmienię, że nie miały dobrej kasy m.in. występy Mieczysławy Ćwiklińskiej w sztuce „Drzewa umierają stojąc". Był to jednak mój sukces prestiżowy. Do tej kategorii impresaryjnego przedsięwzięcia mogę także zaliczyć sprowadzenie Teatru Syrena z efektownym programem rewiowym. Kasowa okazała się moja ostatnia rewia jubileuszowa, m.in. z Bielicką, Santor, Ładyszem, Połomskim i parą komików poznańskich Laskowikiem i Rewińskim. Najwyższe wpływy miałem przed laty z występów zespołu „Cie, choroba" z sołtysem Kierdziołkiem. W Chicago oglądało ten spektakl 5000 osób!

– A propos: jak się udał jubileusz?

– Zebrałem mnóstwo gratulacji i życzeń. Cieszyły dowody uznania ze strony polonijnej prasy, telewizji, radia.

– Jaka szczególna refleksja nawiedziła Pana z okazji 30-lecia pracy?

– Brzmi to może patetycznie, ale rozpierała mnie duma, że potrafiłem sam jeden – w jednopokojowym biurze, z jednym telefonem i z jedną maszyną do pisania – bez subwencji (i bez długów!), tudzież bez pomocy ze strony organizacji polonijnych, zaprezentować rodakom w USA i w Kanadzie dziesiątki polskich imprez z setkami wykonawców sprowadzonych z kraju. Gdy trzeba było, stawałem się szoferem wożącym aktorów i kostiumy, kasjerem, bileterem, ustawiaczem dekoracji. Ucierpiało na tym moje życie rodzinne, a może i zdrowie, bo od 20 lat nie korzystałem właściwie z urlopu.

– Czy w okresie 20 lat współpracy z krajem miał Pan w Ameryce konkurentów?

– Tak, kilku. Aktualnie pozostał na placu chyba tylko jeden. Nawiasem mówiąc od blisko roku nikt poza mną nie sprowadził z Polski żadnej imprezy.

– Czy kurczenie się polonijnej widowni i pewne nasycenie tamtejszego rynku imprezami z kraju narzucają konieczność ograniczenia ich liczby?

– Tak. Według mojego szacunku nie więcej niż 3–4 zespoły estradowe czy teatralne rocznie odpowiadają zapotrzebowaniu polonijnego rynku.

– Pana najbliższe imprezy z Polski?

– Wczesną jesienią sprowadzę teatr „Kwadrat" z fredrowskimi „Damami i huzarami". Następnie zaproszę Marylę Rodowicz z programem opartym na telewizyjnym „Maryla Rodowicz Show". W pierwszych miesiącach przyszłego roku chciałbym gościć 20-osobowy zespół Teatru Syrena, który ma dobrą markę u Polonii.

– Czy nie myśli Pan o poszerzeniu polonijnego rynku o ośrodki polskości na Florydzie, w Kalifornii, w zachodniej Kanadzie?

– Myślę. Z uwagi na koszt transportu spowodowany znacznymi odległościami jeździłbym jednak z niewielkimi zespołami. Zarazem odpowiednio atrakcyjnymi. Bardzo by mi mogło dopomóc w rozszerzeniu misji upowszechniania żywego polskiego słowa poparcie ze strony polonijnych organizacji i placówek kulturalnych, jak kluby artystyczne, związki akademików, szkoły i polskie biblioteki. Niechby przywiązywały większą wagę do upowszechniania rodzimych imprez kulturalnych i podały mi rękę. Jak dotąd nie mogę się pochwalić poparciem, zwłaszcza większych organizacji polonijnych.

– W mniejszych ośrodkach pomocne są chyba parafie.

– Różnie z tym bywa. Jest sporo księży życzliwych rozrywce z polskim słowem, ale zdarza się, że nie wykazują oni zainteresowania dla naszych imprez kulturalnych.

– Czy inne grupy etniczne, np. czeska, węgierska albo skandynawska posiadają swojego Wojewódkę, słowem impresaria, który by sprowadzał z krajów ich pochodzenia imprezy estradowe i solistów?

– O ile wiem, nie ma w Stanach impresariów, którzy by prezentowali artystów z Węgier, Czechosłowacji czy z krajów skandynawskich. Słyszałem o zaproszeniu grupy folklorystycznej z Węgier, ale była to inicjatywa jednorazowa, a nie działanie jakiegoś zawodowego impresaria.

– W Chicago chodziły słuchy, że wobec nieopłacalności wielu imprez importowanych z kraju, tudzież kurczenia się polonijnego rynku zamierzał Pan się wycofać ze współpracy z Pagartem.

– Jestem za kontynuacją współpracy. Tyle że będę zmuszony – wyznam szczerze – chłodniej kalkulować, a może mniej słuchać podszeptu serca... Mam nadzieję, że dotrwam do srebrnych godów z Pagartem.

Rozmawiał

ZBIGNIEW K. ROGOWSKI

JAK PODWÓJNE

Była to ostatnia niedziela czerwca. Na stadionach w Polsce i w innych krajach działo się wiele interesujących wydarzeń, lekkoatleci toczyli zacięte pojedynki z NRD i ZSRR, na kortach Wimbledonu walczył Wojciech Fibak. A jednak warszawskich kibiców interesował tylko jeden, jedyny mecz: jak tam Polonia w Szczytnie? Dziesiątki, ba, setki telefonów z takim pytaniem odbierali dziennikarze stołecznych redakcji. Gdy odpowiadaliśmy, że Polonia wygrała, że wreszcie piłkarze „Czarnych Koszul" znowu będą grać w II lidze, w telefonicznej słuchawce słyszeliśmy westchnienie ulgi bądź też głośne okrzyki radości.

Wierni kibice tego najbardziej warszawskiego klubu, który ma za sobą ponad 60-letnią tradycję, przeżywali wielki dzień. Tym piękniejszy i radośniejszy, że przecież II liga ma być tym pierwszym krokiem do ekstraklasy.

W tydzień później kolejna radosna wiadomość nadeszła z Cieszyna. Oto juniorzy Polonii po dramatycznej walce ze swymi rówieśnikami ze Śląska Wrocław zdobyli tytuł mistrza Polski! Czyż więc można się dziwić, że w niejednym oku, szczególnie u kibiców starszego pokolenia, zakręciła się łza?

Skąd się wzięła ta niespotykana popularność Polonii? Trzeba chyba sięgnąć do początków naszego stulecia. Oczywiście nie zamierzam szczegółowo omawiać historii Polonii, bo była o tym mowa już na łamach „Stolicy", a poza tym zrobił to znakomicie niezrównany znawca dziejów tego klubu – red. Stefan Sieniarski. Awans do II ligi i mistrzostwo Polski najmłodszych piłkarzy jest jednak wyśmienitą okazją, żeby przypomnieć przynajmniej niektóre fakty.

Początków Polonii należy szukać w parku Agrykola, gdzie ok. 1907 r. powstało Warszawskie Koło Sportowe. Przygarnęło ono sztubaków kopiących piłkę, organizowano „prawdziwe" turnieje piłkarskie. Doszło wreszcie do połączenia kilku drużyn w jeden klub, który przybrał nazwę „Polonia" (oficjalnie została zarejestrowana jednak dopiero w 1915 r.). W każdym razie już w 1913 r. jeden z piłkarzy Polonii, członek wielce zasłużonej dla Polonii rodziny, Tadeusz Grabowski, zakupił dla kolegów czarne koszulki z białymi kołnierzykami i mankietami. Tak się narodziła nie tylko Polonia i nazwa „Czarne Koszule".

Polonia była zawsze klubem rodzinnym, występowali przecież w niej bracia Lothowie, Grabowscy, Gebethnerowie, Kisielińscy, Bułanowowie. Nie sposób przecenić zasługi całej dynastii Lothow. W 1916 r. pastor dr August Loth został wybrany honorowym prezesem Polonii, jego synowie Stefan, Jan, Wiktor i Wacław grali w drużynie piłkarskiej. Gdy doszło do „rebelii", powstała Warszawianka grupująca juniorów Polonii – jeden z braci Wiktor Loth porzucił Polonię, co nie przeszkadzało, że „święte wojny" Polonia – Warszawianka toczyły się nadal w rodzinnej atmosferze.

W 1919 r. powstał Polski Związek Piłki Nożnej, w dwa lata później po raz pierwszy zorganizowano mistrzostwa Polski. W finale grało 5 mistrzów ist-

ZA DAWNYCH LAT...

ZWYCIĘSTWO „CZARNYCH KOSZUL"

niejących już okręgów, a wśród nich – Polonia. Cracovia, stosująca „wiedeńską szkołę" była bezkonkurencyjna. W barwach „pasiaków" występowali m. in. Józef Kałuża i dr Stanisław Mielech – żeby wymienić najsławniejszych – ale drugie miejsce zajęła Polonia.

Tytuł wicemistrza Polski – chyba warto to przypomnieć – wywalczyli: Jan Loth, Przeworski, Marczewski, Czyżewski, Jankielewicz, Schmidt, Gebethner I, Stefan Loth, Muck, Strzelecki, Hamburger, Herrmans, Tadeusz Grabowski, Emchowicz, Zandman. Pięć lat później, w 1926 r. – znowu wicemistrzostwo, a od 1927 r. wystartowała już liga.

W lidze „Czarnym Koszulom" wiodło się już gorzej, zajmowały z reguły środkowe miejsca, aż w 1932 r. – katastrofa po raz pierwszy: ostatnie, dwunaste miejsce i spadek do A-klasy. Powrót w 1934 r., spadek w 1935 r., znowu w 1938 r. w szeregach pierwszoligowców.

Okupacja... Piłkarze Polonii, podobnie jak ich koledzy z innych drużyn, nie ulękli się hitlerowskiego terroru, mimo że działalność sportowa traktowana była jako opór przeciwko okupantowi. Rozgrywano mecze, nawet organizowano mistrzostwa Warszawy, choć prosto z boiska można było trafić do obozu koncentracyjnego.

Nadeszło wreszcie wyzwolenie i na gruzach Warszawy odrodziła się Polonia. W 1946 r. Polonia zdobyła mistrzostwo Polski i był to symbol o wielkiej wymowie. Kapitanem tej drużyny był Władysław Szczepaniak, który – choć wojna zabrała mu najlepsze lata kariery – przez 20 lat grał w reprezentacji Polski. 34 razy zaprezentował biało-czerwone barwy, a zawsze wierny Polonii rozegrał w swym macierzystym klubie ponad 700 spotkań. Bramki bronił wtedy zazwyczaj Henryk Borucz zwany „Żyletką", partnerem Szczepaniaka na obronie był „Gierwat" czyli Zdzisław Gierwatowski, uzupełniał ich Antoni Wołosz, w pomocy szalał Edward Brzozowski, a w ataku „Kostek" – Tadeusz Świcarz, „Pikuś" – Zygmunt Ochmański, Jerzy Szularz, z powodzeniem występowali również Jerzy Fronczak, Henryk Przepiórka, Stanisław Woźniak, jak również Zenon Odrowąż, który z powodu tragicznego wypadku finałowy mecz z AKS musiał oglądać z trybun. Dołączył do kolegów Henryk Jaźnicki.

W 1948 r. reaktywowana została I liga. Wszystko szło dobrze aż do roku 1952. Polonia musiała pożegnać się z ekstraklasą. Jakby na osłodę – zdobyła Puchar Polski, wygrywając w finale z CWKS Warszawa 1:0. CWKS to oczywiście Legia, a „Czarne Koszule" nosiły nazwę Kolejarz, ale nikt inaczej nie mówił, jak Polonia.

Potem różnie bywało. Po dwóch latach pobytu w II lidze przyszło zaznać smaku rywalizacji w klasach niższych. Nawet jednak wtedy kibice pozostali wierni „Czarnym Koszulom". „Pod topolami" na Konwiktorskiej toczyły się długie i zacięte dyskusje najwierniejszych sympatyków. Sam słyszałem jak zarzekali się, że „już nigdy więcej, już nie chcę oglądać ciągłych porażek" i za tydzień znowu, znowu meldowali się na stadionie, by dopilnować swe tak bardzo ukochane „Czarne Koszule". Ano, wróciły do II ligi w latach 1959–1961, a potem znowu utknęły w III lidze. Historia lubi się powtarzać, więc w połowie lat siedemdziesiątych – powrót i spadek po dwóch sezonach.

Różnie się wtedy działo w Polonii. Brak było klubowi możnego protektora, między działaczami dochodziło do konfliktów, mnożyły się podziały na „starych" i „młodych". Bywało i tak, że zawodnicy... strajkowali, nie chcieli wychodzić na boisko.

Tak więc, gdy po sezonie 1975/76 Polonia znowu stanęła do III-ligowej rywalizacji nie brak było sceptyków twierdzących, że teraz „Czarne Koszule" długo się nie wygrzebią z upadku.

A jednak! Przyszli do Polonii nowi ludzie, nowy trener mgr Waldemar Obrębski, mając pełne poparcie działaczy sekcji piłkarskiej i zarządu klubu z prezesem wiceministrem mgr. inż. Walentym Szablewskim na czele, podjął się wprowadzenia Polonii do II ligi. Nie bał się postawić na młodzież, wystawiał na mecze nawet juniorów, a przeciętna wieku drużyny wynosi niewiele powyżej 20 lat!

Awans nie był wcale formalnością, został wywalczony w trudnej walce, która rozstrzygnęła się w ostatnim, zwycięskim meczu z Gwardią Szczytno, o który tak bardzo niepokoili się kibice. Był moment załamania, gdy Polonia przeżywała kryzys i przegrała z AZS Warszawa 1:3 oraz Włókniarzem Białystok 0:5.

Wszystko dobre, co się jednak dobrze kończy. Nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że na sukces złożyła się nie tylko olbrzymia ambicja i wytrwałość piłkarzy oraz ich trenera, ale także świetna atmosfera w całym klubie. Poza tym od stycznia br. Polonia zyskała bardzo dobrego protektora, co łatwo zauważyć po koszulkach „Polonia – Polam". Otóż patronat nad koszykarkami sprawuje „Pollena", koszykarzy przygarnął „Hortex", a piłkarzami zajęło się Zjednoczenie „Polam", a głównie Zakłady Materiałów Lampowych „Polam". Korzyści – jak mówił w jednym z wywiadów prasowych dyrektor Zakładów mgr inż. Andrzej Deszczyński – są obustronne.

Piłkarze mają opiekuna, a załoga może w zamian za to korzystać z urządzeń stadionu na Konwiktorskiej, na razie z kortów tenisowych i basenu. Sam stadion to w tej chwili najtrudniejszy problem. Polonia nie ma przecież własnego boiska, remont stadionu ciągnie się niemiłosiernie długo, II-ligowe mecze „Czarne Koszule" będą musiały rozgrywać na stadionie Warszawianki. Jak tu mówić o atucie własnego boiska, który w piłce ma tak olbrzymie znaczenie? A „Polam" obiecuje, że gdy się wreszcie skończy remont pomyśli o sztucznym oświetleniu. To byłaby radość...

Nie od rzeczy będzie, jeśli wspomnimy jeszcze o Klubie Sympatyków Polonii, który działa pod kierownictwem Zdzisława Sięgi, jednego z zagorzałych zwolenników klubu. Rzecz ciekawa, że wśród tych sympatyków dominuje młodzież, sporo jest studentów. Tradycje związków z Polonią nadal więc przechodzą z pokolenia na pokolenie. A tytuł mistrza Polski juniorów to jeszcze jeden optymistyczny akcent, pozwalający myśleć o dniach, gdy cieszyć się będziemy nie tylko z awansu do I ligi.

MIROSŁAW SKÓRZEWSKI

Drużyna Polonii wraz z trenerem. Stoją od lewej. Pierwszy rząd: trener Henryk Musiak, Mirosław Więch, Wojciech Woźniewski, Bogdan Szcześ, Adam Karpiński, Tadeusz Hankiewicz, trener Waldemar Obrębski. Drugi rząd: Andrzej Kozakiewicz, Zbigniew Czółnowski, Andrzej Sieradzki. Trzeci rząd: Lech Cieślak, Adam Krysiński, Adam Łowcewicz, Włodzimierz Gnoiński, Włodzimierz Siudek, Wojciech Rutkowski. Czwarty rząd: Marek Zowsik, Ryszard Anisiewicz, Adam Łukasiewicz.

Ostatnie zdjęcie przedwojennej Polonii, która 20 sierpnia 1939 r. wygrała z Pogonią 2:1. Polonia grała w składzie: Strauch-Szczepaniak, Przyklink, Bzdak, Filipek, Wolańczyk, Jaźnicki, Stańczuk, Odrowąż, Matusik i Kisieliński. Dwaj piłkarze z tej „jedenastki", kapitan Polonii Władysław Szczepaniak i Henryk Jaźnicki w tydzień później wystąpili w pamiętnym meczu Polska – Węgry 4:2. Potem rozpoczęły się mroczne dni hitlerowskiej okupacji.

Juniorzy „Czarnych Koszul", mistrzowie Polski w roku 1977. Stoją od lewej: A. Wróblewski, D. Blira, M. Zowsik, T. Redwan, A. Szydłowski, W. Zwierzyński, G. Miechowicz, I. Gruca, trener Zbigniew Szymczak, kierownik drużyny Gabriel Galiński. Klęczą: K. Węgier, I.. Peda, M. Kłos, A. Kozakiewicz, W. Rutkowski, M. Łęcki, M. Kobiela, J. Pasterski, A. Sieradzki, J. Pieciuk.

Fot. – CAF

RÓŻE W POMARAŃCZARNI

Tak, właśnie wcale nie w rosarium – jakby się można było spodziewać, lecz w Starej Pomarańczarni w Łazienkach. Dzięki wspólnej inicjatywie Polskiego Towarzystwa Miłośników Róż i kuratora Łazienek dra Marka Kwiatkowskiego XIX Ogólnopolską Wystawę Róż eksponowano w tym zabytkowym pomieszczeniu, gdzie piękno kwiatów zyskało dodatkowy urok w towarzystwie rzeźb i nietypowej, romantycznej scenerii. Tą innowacją dr Kwiatkowski pragnie wskrzesić tradycję warszawską urządzania wystaw kwiatowych w Pomarańczarni, która w XIX wieku była swego rodzaju salonem wystawowym. Marzą mu się cztery doroczne stałe wystawy: kwiatów wiosennych w kwietniu, róż w lipcu, kwiatów polskiej jesieni i suszonych bukietów zimą. Może premierowy występ „królowej kwiatów" nie będzie zjawiskiem odosobnionym, przydając nowych uroków Łazienkom.

A teraz kilka słów o samej wystawie. Zaprezentowano na niej około 8 tysięcy kwiatów w 246 odmianach, rodem od ponad 30 wystawców-producentów zbiorowych i indywidualnych, tym razem bez klasy amatorów. Tradycyjnym zwyczajem przyznawano za osiągnięcia hodowlane odznaki „Złotej", „Srebrnej" i „Brązowej Róży". W tzw. klasie B – czyli producentów państwowych i gospodarstw uspołecznionych Srebrną Różę zdobył ZHR Bronisze, a Brązową – Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze. W klasie C – gospodarstw indywidualnych Złotą Różę uzyskał inż. Lucjan Kurowski z Końskowoli koło Puław, zaś Srebrne – inż. Janusz Zwoniarski z Łomianek k/Warszawy i mgr Marceli Ciesielski z Inowrocławia. W klasie D – to jest dla zespołów za stoiska zbiorowe Złotą Różę przyznano Centrali Nasiennictwa Ogrodniczego i Szkółkarstwa w Poznaniu, a Srebrną – CNOS Ożarów. **(KK)**

Zdjęcia: KONSTANTY JAROCHOWSKI

Wystawa róż – widok ogólny

„Finale"

„Chicago Peace"

„Picadilly"

„Casanova"

NOTATNIK WARSZAWSKI

KWIATY W ROCZNICE POWSTANIA

Fot. K. Jarochowski

Kontynuując tradycje dzielnicy praskiej niedawno powołany Oddział Saska Kępa Towarzystwa Przyjaciół Warszawy zorganizował symboliczne złożenie kwiatów w rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego pod kapliczką wzniesioną w latach międzywojennych na terenie parku Skaryszewskiego. Z lewej strony na froncie inicjator skromnej uroczystości, prezes Oddziału Saska Kępa TPW prof. Marek M. Drozdowski.

SZKŁO ZA SZKŁEM

Fot. Janusz Pokorski

W Domu Artysty Plastyka przy ul. Mazowieckiej 11a czynna jest obecnie wystawa prac Grażyny Staszko. Pani Grażyna ukończyła studia PWSSP we Wrocławiu w 1969 roku pod kierunkiem doc. K. Cybińskiej, a w 1975 roku zaliczona została w poczet członków zwyczajnych ZPAP.

Jej zainteresowania wyraźnie ukierunkowane są na szkło i ceramikę, choć nie stroni przed innymi formami wyrazu artystycznego.

– Chętnie uprawiam grafikę, ale niestety warunki lokalowe utrudniają tę działalność – po prostu nie mam pracowni. Prasę do odbijania grafik muszę trzymać w piwnicy u znajomych... a szkło oczywiście wykonuję w hutach szkła w Suchedniowie i Krośnie.

Warto wstąpić na Mazowiecką, zobaczyć i westchnąć, że takiej lub innej rzeczy nie posiada się w mieszkaniu, że są to tylko szklane eksponaty za szkłem.

Kn

WACŁAW WYCZÓŁKOWSKI

Zmarły 27 czerwca 1977 r. prof. Wacław Wyczółkowski był stryjecznym bratem wybitnego malarza Leona. Urodził się w Warszawie w 1888 roku. Studia ukończył w Leodium w Belgii, uzyskując stopień doktorski z dziedziny prawa i ekonomii. Po odzyskaniu niepodległości został w Warszawie dyrektorem Szkoły Handlowej przy ul. Królewskiej. Był aktywnym działaczem Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego. Po ostatniej wojnie – podczas której uczestniczył w tajnym nauczaniu – podjął na nowo pracę pedagogiczną, przez krótki czas w Zakopanem, a następnie znowu w stolicy. Posiadał również zdolności plastyczne i wiele swych obrazów ofiarował muzeum. Był Wacław Wyczółkowski człowiekiem o zacięciu społecznika, zawsze skorym do niesienia pomocy. za swe zasługi odznaczony został m.in. w 32 rocznicę wyzwolenia Warszawy Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

M.M

WŚRÓD NOWOŚCI

Wybierającym się na urlop, wędrownikom, turystom i wszystkim pragnącym bliżej poznać nasz kraj, polecamy nowe wydanie poszerzonego i uaktualnionego „Przewodnika po Polsce". poprzednie wydania tego pożytecznego informatora, uzupełnionego mapkami, trasami turystycznymi itp. zniknęły bez śladu, dobrze więc, że wydawnictwo „Sport i Turystyka" uzupełniło ten brak na rynku. Z kolei „Literatura okresu Młodej Polski", tom 4 opracowany przez Instytut Badań Literackich PAN, a wydany przez WL jest przeznaczony raczej dla specjalistów, lub ludzi tkwiących w młodopolskiej epoce. Ta bezcenna pozycja stanowi źródło informacji o ludziach pióra, krytykach i historykach literatury. Wszyscy którzy interesują się zagadnieniami zawartymi w tej księdze winni pośpieszyć się, gdyż w hurcie jest już ona wyczerpana. Przy omawianiu poszczególnych postaci oprócz charakterystyki ich twórczości przez znawców przedmiotu, są również szczegółowe dane bibliograficzne oraz wypisy.

Kol.

NA „POWRÓT DO WILANOWA"

Zjednoczone Przedsiębiorstwo Rozrywkowe zorganizowało w tym sezonie interesującą imprezę typu światło i dźwięk (jedyną nb. w Polsce) pt. „Powrót do Wilanowa". W pięknej scenerii zespołu pałacowo-parkowego w Wilanowie toczy się opowiadanie o powrocie króla Jana III Sobieskiego ze zwycięskiej bitwy pod Wiedniem. Ten fragment dziejów polskiej historii, wzbogacony o efekty świetlne i akustyczne – prezentowany jest w poniedziałki, wtorki i soboty od połowy sierpnia 1977 r. o godzinie 21 minut 30, a o godz. 21.00 we wrześniu. Spektakl trwa około 50 minut, bilety w cenie 100 zł rozprowadza głównie Oddział Obsługi Turystycznej PBP „Orbis" z ul. Świętokrzyskiej 20, gdzie przyjmowane są również zamówienia dla grup i turystów indywidualnych. Scenariusz opracował, a także reżyserował samo przedstawienie – Piotr Wojciechowski, muzykę – dzieło Zbigniewa Rudzińskiego nagrała Orkiestra Filharmonii Narodowej w Warszawie; realizacja dźwięku przy współpracy Studia Eksperymentalnego PR i TV, „Polskich Nagrań", WFF w Łodzi i WFD w Warszawie. Głosów swoich użyczyli temu teatrowi wyobraźni znakomici aktorzy scen polskich. Na taki „Powrót" warto się istotnie wybrać, nawet ryzykując... niezbyt dogodny, współczesny, a późny powrót z wilanowskiej dzielnicy.

STANICE HARCERSKIE

Za naszym pośrednictwem harcerze zapraszają warszawiaków do swoich hotelików pod namiotami, które zorganizowano w ramach operacji „Bieszczady 40". W tym sezonie bazy noclegowe prowadzą 24 stanice, miejsc noclegowych jest 850. Korzystać z nich mogą turyści indywidualni oraz harcerskie obozy wędrowne. Stanice z hotelikami zlokalizowane są w atrakcyjnych miejscowościach: Czarna Polana, Olchowiec, Dwerniczek, Suche Rzeki, Ustrzyki Górne, Wołosate, Bystre, Kłonice, Karolów, Wetlina, Jaworzec, Bukowiec, Lesko, Dołżyca, Wola Michowa oraz Ustrzyki Dolne. Opłata za dobowy pobyt wynosi dla harcerzy 5 zł, dla studentów i wojskowych 10 zł, dla pozostałych osób 15 zł.

Nowy sklep PGR – Bródno

W błyskawicznym tempie, bo w ciągu dwóch tygodni został przystosowany dla potrzeb sprzedaży artykułów rolnych lokal w pawilonie przy ul. Brazylijskiej 13 róg Międzynarodowej. W ten sposób Praga Południe otrzymała pierwszy w swojej dzielnicy sklep firmowy PGR Bródno. Sprzedaje się tu już świeże warzywa, mleko, sery pełnotłuste, owoce, jaja i drób. Z dużym więc uznaniem należy powitać tę kolejną inicjatywę handlową Państwowego Gospodarstwa Rolnego Bródno.

24 zakłady usługowe na Mokotowie

Warszawiacy nadal narzekają na niedostatek usług szczególnie w nowych osiedlach. Dlatego też z przyjemnością informujemy, iż jeszcze w tym roku w jednej z największych dzielnic Warszawy, na Mokotowie, powstaną 24 nowe zakłady usługowe, z czego większość usytuowana będzie w nowych osiedlach. Będą to pralnie samoobsługowe, naprawy sprzętu gospodarstwa domowego, naprawy obuwia, usługi szklarskie, stolarskie, tapicerskie itp. Między innymi zostanie oddany całkowicie pawilon z usługami rzemieślniczymi przy ul. Komarowa, w którym znajdzie się 13 nowych zakładów usługowych.

Krótsze trasy tramwajowe na ul. Puławskiej

Pisaliśmy obszernie o robotach drogowych związanych z przebudową jednej z największych arterii Warszawy jaką jest ulica Puławska. W związku z tym na okres kilku miesięcy został wstrzymany ruch tramwajowy na odcinku ulicy Puławskiej od Dworca Południowego do torów wyścigów konnych. Skrócone trasy linii „4", „19", „36" i „33 bis" zastąpi linia autobusowa na trasie: Dworzec Południowy – Puławska – skrzyżowania z Aleją Wyścigową. Wś.

SPOD WIECHY

Już szósty rok stoi na Powiślu przy ul. L. Kruczkowskiego kopulasty obiekt zwany cyrkiem (bo dla cyrku został wybudowany), który z przyczyn technicznych nie może być użytkowany. Przeciągały się ekspertyzy techniczne i dysputy, co z tym fantem zrobić, może rozebrać aby nie był pośmiewiskiem. Wybrano drogę połowiczną, to znaczy przebudowę możliwie najtańszym kosztem. Nie uda się jednak zachowanie wielkiej sali widowiskowej na 3 tysiące miejsc, lecz zmniejszy się ją do 800 miejsc. Lepsze jednak to, niż trzymanie budynku pod kluczem. Dostosowaniem „cyrku" do użytkowania zajęło się Biuro Projektów Budownictwa Ogólnego i Centralny Ośrodek Badawczo-Projektowy Mostostal a przeróbki wykonają ekipy Mostostalu Warszawskiego. Obiekt będzie się nazywał Centrum Rozrywki Variete, jego gospodarzem są Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe. Będą tu więc nie tylko występy artystów, ale parkiet do tańca (obrotowy), automaty, gry zręcznościowe dla młodzieży, kawiarnia, jednym słowem dla każdego coś miłego. Tylko kiedy?

Co nowego w Warszawie?

Pawilon handlowy na Ochocie

Informowaliśmy ostatnio o uruchomieniu największej placówki handlowo-usługowej stolicy Uniwersamu „Grochów" przy Rondzie Wiatraczna. Kilka dni temu oddano do użytku kolejny, mający 1600 m² powierzchni, a więc duży pawilon handlowy u zbiegu ul. Grójeckiej i 1 Sierpnia na Ochocie. W pawilonie tym mieści się także bar kawowy o 56 miejscach stałych i 48 sezonowych.

KRAMIK pod SYRENKĄ

„Szejkowie" z Marszałkowskiej

Od pewnego czasu w Śródmieściu spotykamy zaskakująco wielu egzotycznych przybyszów o smagłej cerze i kruczoczarnych włosach. Spacerują całymi rodzinami – nawet z małymi dziećmi. Upodobali sobie szczególnie rejon hotelu Metropol, a przede wszystkim sektor Ściany Wschodniej. Tu przesiadują najchętniej w „Szampańskiej", tu wzdłuż całego duktu handlowego urządzają „polowania" na blondwłose Lechitki, wreszcie w wieżowcach (i innych domach Ściany Wschodniej) wynajmują najchętniej mieszkania. Znamy kilka przypadków wyprowadzenia się lokatorskich rodzin z wysokościowców i odstąpienia „chat" egzotycznym sublokatorom. Z obserwacji wiemy, że z mieszkania M-2 korzysta zwykle 2–3 egzotycznych gości, którzy – jak nam zdradzili – płacą po 3–4 dolary dziennie od „łebka". A w ogóle, jak mówią, w Warszawie żyć nie umierać... Miasto urodziwe, dziewczęta piękne, życie tanie. Egzotyczni przybysze chwalą sobie także udane zakupy, tym bardziej ochoczo dokonywane, że – jak dowodzą – mogą korzystnie jak nigdzie w Europie upłynniać swoje dewizy.

Z N. Targu do N. Jorku

W pierwszą niedzielę sierpnia TV nadała uroczy film hollywoodzki „Garsoniera" w reżyserii Billy Wildera. Kiedy współpracownik „Stolicy" rozmawiał z nim w Hollywood, ten znakomity twórca wymienił „Garsonierę" jako jeden z tych swoich filmów – obok „Straconego weekendu", „Bulwaru Zachodzącego Słońca" i „Pół żartem, pół serio" (z Marilyn Monroe) – które uważa za swoje najlepsze, ale według jego słów dzieła życia jeszcze nie zrealizował. Mr. Wilder (zdobywca 6 Oscarów!) powiedział nam o swoich związkach z Polską. urodził się w... Suchej (Krakowskie). Matka – Polka, ojciec pochodził z Wiednia. Wilderowie byli właścicielami hotelu (Pollera) w Krakowie, babka późniejszego reżysera prowadziła własny hotel w Nowym Targu. Wilder wyrastał i chodził do szkoły w Wiedniu, ale przez wiele lat każde wakacje spędzał w Nowym Targu. W czasie ostatniej wojny los nie oszczędził matki i babki Billy Wildera: zostały zamordowane przez hitlerowców w Oświęcimiu.

„Matuzalem"

Oto człowiek, który najdłużej (i najcierpliwiej) dotrzymuje kroku Sopockiemu Festiwalowi: Lech B. Sikorski. Doświadczony organizator, od 14 lat w służbie tej popularnej imprezy, od lat 6 sekretarz generalny Festiwalu Piosenki. W czasie Festiwalu wszystkie drogi wszystkich (związanych z imprezą) wiodą do kwatery biurowej dyr. Sikorskiego w sopockim Grand Hotelu. Podlegają mu sprawy związane bezpośrednio z realizacją koncertów, na jego głowie spoczywa baza hotelowa dla wykonawców, organizacja transportu etc. etc. Ma do dyspozycji ponad 40-osobowy sztab ludzi (w tym m.in. tłumaczy festiwalowych). Festiwal przysporzył dyr. Sikorskiemu niejednego siwego włosa (przyznaje się do tego), ale próżno by szukać przy bezpośrednim kontakcie z sopockim „matuzalemem" – nawet w najgorętszych godzinach festiwalowej gorączki – objawów napięcia, stresu, zdenerwowania. Potrafi zachować zimną krew i spokój. Oby i w tym roku tak było. *Na zdjęciu Lech B. Sikorski.*

ZMARLI

14 czerwca – WŁADYSŁAW MILCZEWSKI uczestnik kampanii wrześniowej, oficer WP, działacz społeczny. Odznaczony: Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką Honorową „Za Zasługi dla m. st. Warszawy"

22 czerwca – DOMINIK RYFKA wiceprzewodniczący Głównej Komisji Rewizyjnej Zw. Zaw. Prac. Spółdz. Pracy, b. członek Prezydium CRZZ, b. kierownik Zespołu Organizacyjnego CRZZ, działacz związkowy, społeczny i polityczny. Odznaczony: Sztandarem Pracy I i II kl. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Odznaką honorową „Za Zasługi dla m. st. Warszawy" oraz innymi odznaczeniami.

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Przedmiotem obrad kolejnego posiedzenia Egzekutywy Komitetu Warszawskiego PZPR była realizacja budowy Wodociągu Północnego. Rozrastająca się z każdym rokiem Warszawa zużywa coraz więcej wody. Prognozy na najbliższe lata wskazują, że już pod koniec bieżącego 5-lecia wystąpi jej deficyt. Podjęta na mocy decyzji stołecznych władz modernizacja istniejących wodociągów wpłynie na złagodzenie tej sytuacji, ale nie rozwiąże problemu. W tej sytuacji sprawą pierwszoplanową dla miasta staje się rozpoczęta w 1974 roku budowa Wodociągu Północnego. Będzie on pobierał wodę z Zalewu Zegrzyńskiego i będzie dostarczał miastu kilkaset tysięcy metrów sześciennych na dobę. Egzekutywa uznała, że termin zakończenia pierwszego etapu budowy – 1981 rok – musi być dotrzymany. Wodociąg Północny jako inwestycja mająca podstawowe znaczenie dla rozwoju stołecznej aglomeracji, jest traktowany na równi z budownictwem mieszkaniowym. W drugim punkcie obrad Egzekutywa KW oceniła działalność rolniczych spółdzielni produkcyjnych stołecznego województwa za rok 1976 i omówiła kierunki ich dalszego rozwoju. Dotychczasowe osiągnięcia warszawskich RSP zostały ocenione pozytywnie. Egzekutywa zaleciła dalszy rozwój tej formy gospodarowania.

Na kolejnym posiedzeniu Prezydium Rady Narodowej m.st. Warszawy, które prowadził sekretarz KC I sekretarz KW PZPR, przewodniczący StRN Alojzy Karkoszka – wysłuchano informacji wiceprezydenta Stanisława Bieleckiego o przebiegu robót porządkowych w Konstancinie Jeziornie. Podczas dyskusji podkreślano, że prace te muszą być w Konstancinie kontynuowane energiczniej, aby miasto to stało się jak najszybciej ośrodkiem wypoczynkowo-rekreacyjnym. W tym samym kierunku należy zmierzać przy zagospodarowywaniu Otwocka. W drugim punkcie obrad Prezydium wysłuchało sprawozdania z realizacji uchwały nr 17 Rady Narodowej, m.st. Warszawy w sprawie ochrony środowiska. Stwierdzono, że uchwała realizowana jest stopniowo, z dużym wysiłkiem. Widać, już tego korzystne efekty. Znacznie zmniejszyło się zanieczyszczenie powietrza. Niemniej jednak poprawa w dziedzinie ochrony środowiska jest wciąż jeszcze niezadowalająca.

Sekretarz KC, I sekretarz KW PZPR – Alojzy Karkoszka odwiedził przedsiębiorstwa RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie Warszawy: Zakłady Wklęsłodrukowe przy ul. Okopowej, Zakład Produkcji Czasopism na Wyczółkach oraz Centralę Kolportażu Prasy i Wydawnictw, interesując się aktualnymi sprawami produkcyjnymi zakładów oraz warunkami pracy i sytuacją socjalną załóg. W czasie spotkania z Zarządem RSW „Prasa-Książka-Ruch" i kierownictwami zakładów, prezes Stanisław Mojkowski poinformował Alojzego Karkoszkę o podstawowych problemach dalszego rozwoju instytucji na terenie Warszawy.

SEZONOWA OKAZJA

W dniu 8 sierpnia br. sklepy podległe Stołecznemu Przedsiębiorstwu Handlu Wewnętrznego rozpoczęły wielką sezonową wyprzedaż artykułów po cenach obniżonych (pełnowartościowe towary m.in. mniej „chodliwe" z uwagi na koniec wiosenno-letniego sezonu). Wartość tych artykułów przeznaczonych do sprzedaży na terenie Warszawy i stołecznego województwa sięga około 100 mln zł, a przecena – nawet 50 i więcej procent dawnej ceny. Korzystając z okazji można nabywać znacznie taniej odzież, obuwie, wyroby dziewiarskie i tekstylne, galanterię skórzaną oraz meble. Przecenione zostały również niektóre telewizory, aparaty radiowe, gramofony i wiele wyrobów sprzętu elektrotechnicznego.

Fot. J. Pokorski

Fot. R. Przedworski

WIZYTA W ZM „URSUS"

W Ursusie, mieście włączonym ostatnio w granice administracyjne Warszawy, prym wiodą Zakłady Mechaniczne „Ursus", znane od lat i rozrastające się w tempie zasługującym na uznanie. W dniu 10 VIII br. Zakłady te wizytował prezes Rady Ministrów Piotr Jaroszewicz w towarzystwie sekretarza KC, I sekretarza KW PZPR Alojzego Karkoszki, zapoznając się z realizacją bieżących zadań produkcyjnych oraz generalną rozbudową i modernizacją fabryki przygotowującej się do wytwarzania nowego rodzaju ciągników licencyjnych. W czasie spotkania z pracownikami „Ursusa" premier Piotr Jaroszewicz zabrał głos przekazując załodze i kierownictwu zakładów serdeczne pozdrowienia i wyrazy uznania od I Sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka, Biura Politycznego KC oraz Rady Ministrów. Dostojny gość podkreślił, że budowa „Ursusa II" należy do priorytetowych wielkich inwestycji obecnej 5-latki i wskazał na jej doniosłe znaczenie. Pomyślne wykonanie planu pierwszych 7 miesięcy o czym poinformowała wizytujących gości załoga – pozwala rokować jak najlepsze nadzieje na przyszłość.

(K)

URSUS CZĘŚCIĄ WARSZAWY

Warszawa (a ściślej precyzując dzielnica Ochota) powiększyła się ostatnio o teren podstołecznego do niedawna miasta Ursus – centrum polskiego przemysłu ciągnikowego. Na wniosek Stołecznej Rady Narodowej Ministerstwo Administracji Terenowej i Ochrony Środowiska wydało zarządzenie o połączeniu, będące administracyjnym potwierdzeniem faktycznych więzi Datą inkorporacji był dzień 1 sierpnia 1977. Z kolei 10 sierpnia odbyło się posiedzenie plenarne Komitetu Dzielnicowego PZPR Warszawa Ochota i Komitetu Miejskiego Ursus, na którym nastąpiło połączenie obydwu instancji. W trakcie obrad, w których uczestniczył sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR Władysław Kata, podjęto decyzję powiększenia egzekutywy KD Ochota o działaczy instancji partyjnej w Ursusie przyjmując 1 sekretarza byłego Komitetu Miejskiego tow. Stanisława Bartkowicza oraz I sekretarza Komitetu Fabrycznego w Zakładach „Ursus" tow. Stanisława Maćkowskiego.

W dniu 12 VIII na wspólnej sesji spotkali się radni z DRN Warszawa Ochota i Miejskiej Rady Narodowej z byłego miasta Ursus. Na tę wspólną sesję przybył I wiceprezydent m.st. Warszawy Stanisław Bielecki, obrady prowadził przewodniczący DRN Warszawa Ochota Henryk Szablak. Podjęto uchwałę w sprawie dokooptowania do składu DRN Ochota radnych z Miejskiej Rady Narodowej byłego miasta Ursusa oraz uzupełnienia składu komisji problemowych Dzielnicowej Rady Narodowej. Naczelnik Dzielnicy Ochota Zbigniew Lippe przedstawił zebranym zasady funkcjonowania służb miejskich w nowej strukturze organizacyjnej. Pod jednym kierownictwem pracuje już handel oraz służba zdrowia kierowana przez dzielnicowy Zespół Opieki Zdrowotnej, a także placówki kulturalne, oświatowe i rekreacyjne. W toku są prace nad modyfikacją systemu i środków komunikacji, problem łączności Ursusa z centrum Warszawy jest bowiem jednym z najważniejszych zadań do rozwiązania. Uruchamia się w Ursusie agendy poszczególnych wydziałów Urzędu Dzielnicowego.

Włączenie Ursusa w granice Warszawy nałożyło na władze administracyjne dzielnicy Ochota i miasta nowe obowiązki. Winny one przynieść obustronne korzyści.

AEG
LISTY – POLEMIKI

„Jak to jest z tymi klaczami?" zapytuje pan A.F. z Warszawy. „W końcu – opłaciło się Smużkę postawić na torze w wieku czteroletnim, czy nie? Wygrała «Kincsem Dij» w Budapeszcie, a teraz wysłano ją do Anglii". Metody pozostawiania klasowej klaczy na torze z gwarancją wygrania określonej gonitwy w wieku czteroletnim jeszcze nie wynaleziono, byłby to specyficznie polski wynalazek, chociaż próby „przymierzania się" hodowców i właścicieli stajen do poszczególnych wyścigów zawsze były i będą. Ale mówiąc serio, trzeba pochwalić naszych selekcjonerów za ich szczęśliwą rękę i dobre wyczucie szans na torze budapeszteńskim, zresztą już to zrobiliśmy w jednym z komentarzy. W niczym to nie zmienia naszego stanowiska – jesteśmy przeciwni przedłużaniu w warunkach naszej hodowli kariery wyścigowej klasowych klaczy. Są one przede wszystkim potrzebne w hodowli. W polemice z wytrawnym znawcą spraw toru wyścigowego panem H.D. z Łodzi, na łamach „Stolicy" – przed rozpoczęciem sezonu – nie mogliśmy dojść do żadnego wspólnego wniosku, gdyż nasz przeciwnik operował przykładami krajów, gdzie hodowla koni pełnej krwi jest potęgą, albo znajduje się w pełnym rozwoju, my natomiast pamiętaliśmy o sytuacji w tej dziedzinie w kraju. U nas rozwój ilościowy i jakościowy klaczy stadnych jest hamowany z przyczyn organicznych. Każda eliminacja klaczy rokującej nadzieję w hodowli oznacza pogłębianie tego procesu.

Pan H.D. nadesłał nam niedawno interesujący list na temat nieefektywności struktury organizacyjnej naszej hodowli. List wyjaśnia dlaczego właśnie w warunkach, które stworzono nie może rosnąć liczba klaczy stadnych (jest ograniczana), ani rozwijać się hodowla koni pełnej krwi. Z treścią listu zapoznamy wkrótce naszych Czytelników. Temat podjęty przez autora listu – struktury organizacyjnej hodowli koni pełnej krwi – „Stolica" wielokrotnie poruszała krytycznie, dyskusyjnie. Wypada jeszcze dodać, że ograniczanie ilości klaczy stadnych i oszczędzanie na tym polu powoduje duże straty w totalizatorze, który prawie wszędzie na świecie finansuje hodowlę koni pełnej krwi. Wciąż małe jeszcze pola w wyścigach konnych nie sprzyjają wysokim obrotom. Nasza hodowla koni pełnej krwi w tych warunkach nie może się rozwijać, a chcemy osiągać sukcesy już nie tylko na torach w środkowowschodniej Europie, ale w Republice Federalnej Niemiec i w Anglii. Nasi hodowcy, selekcjonerzy, trenerzy i tak dokonują cudów, skoro nie ułatwia się im ich zadań.

Dziękujemy za list panu Franciszkowi Kazimierskiemu z Piastowa. Ma Pan rację, że mogliśmy swoje uwagi po Nagrodzie Soliny sformułować ostrożniej. Nie należało rzeczywiście wspominać o faworytach Derby i eliminować spośród nich Konstelacji chociaż uczyniliśmy to wyraźnie z zastrzeżeniem i nasze twierdzenie odnosiło się jednoznacznie do stanu na około blisko cztery tygodnie przed Derby. Pisaliśmy wówczas również, że „dla pokonania czołowych ogierów Konstelacja musiałaby być w znacznie lepszej formie". Okres wspomnianych prawie czterech tygodni trener A. Walicki wyzyskał dla poprawienia formy klaczy. Na cztery dni przed wyścigiem o błękitną wstęgę w 27 numerze „Stolicy" z datą 2 lipca 1977 roku w felietonie pt. „Przed Derby" pisząc o szansach uczestników Derby umieściliśmy Konstelację w gronie faworytów. Pisze Pan jednak, że „takie definitywne stwierdzenie (na cztery tygodnie przed Derby – przyp. AEG.) wyrządziło nam (to znaczy innym jeszcze graczom – przyp. AEG) szkodę materialną i moralną". To już chyba spora przesada i niepotrzebny akcent w liście. Są w nim jeszcze i inne nutki nieprzyjemne jak: „opiera Pan swoją opinię na własnej wyłącznie fantazji". Moglibyśmy zacytować Panu wiele trafnych ocen „Stolicy" powstałych z tej „fantazji", ale komentarz nasz nie jest biblią i będziemy zawsze wdzięczni za słuszne uwagi. Tylko niech Pan dyskutuje „ad rem", nie „ad personam".

W niedzielę, 21 sierpnia rozegrana zostanie na torze służewieckim gonitwa o Nagrodę „Stolicy" dla koni dwuletnich, na dystansie 1200 m mająca już swoją tradycję torową.

GAWĘDY o książkach

TEOFIL SYGA

PODRÓŻE KRASZEWSKIEGO (II)

W „Kartkach z podróży" J. I. Kraszewskiego (PIW) znaleźć można niezliczone informacje na temat pamiątek polskich, spotykanych na ziemiach zwiedzanych krajów. Czyż mogło być inaczej, skoro podróżnik tymi oto słowy określił, co go pociągało najżywiej: „Nie powinno by to zadziwić nikogo, że w tym Rzymie pełnym świetnych wspomnień nie śpieszyliśmy do głównych ognisk dawnego życia ani do najcelniejszych gmachów nowej stolicy; postanowiliśmy oglądać (...) co nas ze względu na kraj" obchodzić mogło.

Pierwszą tedy wycieczkę odbył Kraszewski do grobu św. Stanisława Kostki, któremu poświęcona jest jedna z kaplic w kościele budowanym przez Berniniego. Portrety, posąg z białego marmuru w sukni czarnej. W klasztorze pełno pamiątek; w celi, w której Stanisław Kostka zmarł, rzeźby i dokumenty.

Z kolei kościół św. Stanisława dei Polacchi, z dawna należący do Polski i utrzymujący szpital dla polskich pielgrzymów. W wielkim ołtarzu czterech patronów Polski, na innych ołtarzach orły białe, kamień pamiątkowy Anny Jagiellonki, herby Hozjusza i wielu rodzin polskich. W zakrystii obrazy Smuglewicza, portrety Stanisława Augusta i Hozjusza.

W starym kościele Kapucynów grobowiec z białego marmuru królewicza Aleksandra Sobieskiego, zmarłego w Rzymie.

W Wenecji ogląda Kraszewski w Pałacu Dożów tablicę i portret Henryka Walezego, we Florencji nagrobki magnatów polskich (m. in. M. K. Ogińskiego, kompozytora polonezów) oraz Aleksandry Moszczeńskiej, niedoszłej narzeczonej Słowackiego.

Najwięcej poloników odnalazł pisarz w Padwie. W kaplicy zabytkowego kościoła z XIII wieku polski napis na płycie nagrobnej Karoliny Jabłonowskiej, na innych płytach herby i nazwiska polskie. Na grobowcu Erazma Kretkowskiego z 1588 roku wiersz łaciński Jana Kochanowskiego. Inne polskie grobowce oraz „ołtarz narodu polskiego".

Na największym placu popiersia Jana Sobieskiego i Stefana Batorego, ufundowane tam podobno staraniem Stanisława Augusta.

Z Włoch jedzie Kraszewski do Francji. W Paryżu odwiedza grobowiec króla Jan Kazimierza w kościele Saint-Germain; zauważa, że na płycie „stroje i uzbrojenie współczesne są dosyć wiernie oznaczone, a nawet typy i charakter polski". Relief z brązu obrazuje bitwę pod Beresteczkiem.

Dużo czasu spędza na cmentarzach. Na Père-Lachaise odnajduje piękny grobowiec Klementyny z Tańskich Hoffmanowej z pomnikiem wykonanym przez Władysława Oleszczyńskiego, odwiedza groby Małachowskiego, Tyszkiewiczów, Wołowskich i oczywiście grób Chopina, otoczony krzewami białych róż.

Autora „Kartek z podróży" interesują nie tylko zabytki przeszłości, lecz i współczesność, emigracja, ludzie żywi. Ogląda pracownie i dzieła polskich artystów: Juliusza Kossaka, Henryka Rodakowskiego, Antoniego Oleszczyńskiego, Leona Kaplińskiego, Franciszka Tepy, charakteryzuje i ocenia ich twórczość.

Najciekawsza jest wizyta u Cypriana Norwida: „Na ostatek ominąć się nie godziło pracowni skromnej, a jednej z najoryginalniejszych pana Cypriana, chociaż nie wiem, czy Cyprian jest bardziej poetą, czy artystą? Nie podobna w nim nie uznać rysownika, nie można mu odmówić tytułu poety. Niestety, jest to płód wieku, chwili, wpływów jakichś czy najdziwniejszej w świecie natury, chorobliwa, nieszczęśliwa istota złożona z jasnych promieni i pasów atramentowej czarności. Trzeba umieć poszanować w nim cierpienie, fantazję, dziwactwo, talent, przyjąć go jak jest, ale niepodobna nie użalać się nad tym jeniuszem zwichniętym. Egzaltacja, jaką wypadki wyrobiły, Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, naturalne owoce tej epoki stworzyły też takich nieszczęśliwych Cyprianów, w gorączce nieustającej dobijających się ekscentrycznością oryginalności, ciemnością i zagadkowością jeniusza."

Pobyt w Lipsku – oglądanie miasta, zwiedzanie zbiorów dzieł sztuki – daje Kraszewskiemu okazję również i do reminiscencji historycznych. Przypomina, że miasto to leży na ziemi słowiańskiej, należącej do Łużyczan aż do dziesiątego wieku. Szeroko przedstawia bitwę pod Lipskiem, bohaterską walkę Polaków i śmierć ks. Józefa Poniatowskiego. Informuje o działalności założonego w Lipsku przez Józefa Aleksandra Jabłonowskiego sławnego Towarzystwa imienia Jabłonowskich (założone w wieku osiemnastym, przetrwało do 1939 roku).

Dzieła swe pisał Kraszewski gęsim piórem, bo do stalowego nie mógł się przekonać. I tym to piórem – wspominał Brzostowski – pisał bez wytchnienia, z niedoścignioną szybkością. Tom złożony z dziesięciu tysięcy wierszy powstawał w ciągu dni dziesięciu. Toteż miał rację Mikołaj Zyblikiewicz, gdy na uroczystości jubileuszowej Kraszewskiego przed niemal stu laty powiedział: „Kraszewski więcej książek napisał, aniżeli inni czytali."

W ogromnej puściźnie pisarskiej Kraszewskiego „Kartki z podróży" i inne publikacje „podróżnicze" nie stanowią marginesu twórczości, lecz są tej twórczości znakomitym dopełnieniem.

OKIENKO WARSA

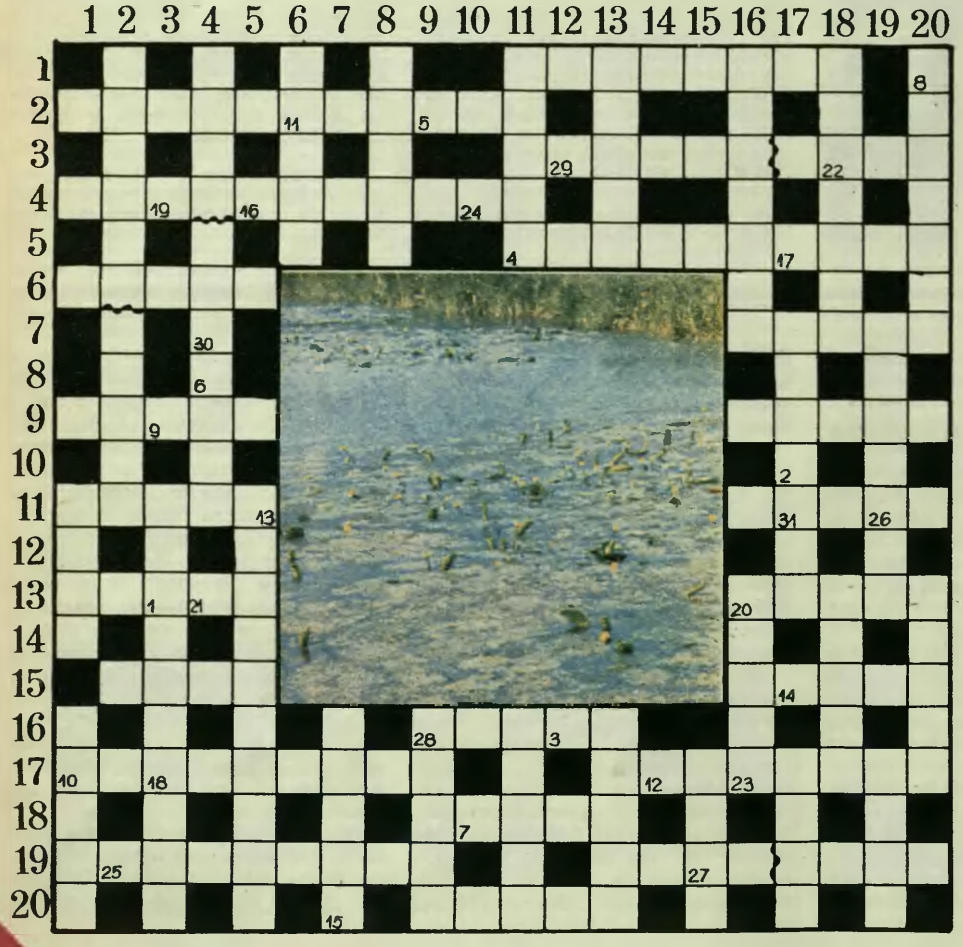

POZIOMO 1) imię autorki *Kaśki Kariatydy*. 2) obywatelka miasta wojewódzkiego leżącego nad Bystrzycą. 3) strojny, barwnie upierzony ptak australijski (w nazwie ul. Mokotowa). 4) imienniczka Ćwiklińskiej. 5) Narcyza, autorka *Poganki* (patronuje ul. Woli). 6) niskowęglowa stal stopowa. 7) miasto nad jeziorem Jeziorak. 9) wyrastają z cebulek ● na kotlety. 11) brat taty ● chroniony kuzyn łasicy. 13) przystąpienie, np. do spółki ● u boku małżonka. 15) duma nioski ● coś z insygniów. 16) szkic, kontur. 17) jagód, grzybów albo... pochwał ● widok. 18) nawinięta wokół karkasu. 19) poprzedza wyjazd ● szczyt w G. Świętokrzyskich (w nazwie ul. Pragi Płn.). 20) z kremem.

PIONOWO: 1)... *uniesień* – w tytule obrazu Podkowińskiego ● w niej narzędzia gospodarskie 2) imię i nazwisko malarza (1853-1929), patrona ul. Mokotowa *(Powrót z niedźwiedziem, Po polowaniu)*. 3) ulica Ochoty przypominająca nazwą miejscowość upamiętnioną zwycięstwem oddziału Kościuszki w r. 1794. 4) węzeł komunikacyjny w sąsiedztwie dworca Ochota. 5) ulica Pragi Płn. o nazwie miłej dla smakoszy ryb. 6) ptak z koralami. 7) *Kupię stare zegary. Tel. 23-23.* 8) tłuszcz zwierzęcy. 9) składacz. 11) tam fiaty nocują ● składak. 13) maluchowi na dobranoc ● ośrodek wypoczynkowy i sportowy nad Pilicą. 15) polska furgonetka. 16) naśladowcy ● z niego Ewa? 17) kiedyś oświetlano nim izby ● duma daniela. 18) rzeźbiarz lub grafik ● zadanie dzienne. 19) młyn bezczynny w dni bezwietrzne ● duch. 20) fajtłapa ● jedna z elektrod.

Litery z ponumerowanych kratek, czytane kolejno, utworzą hasło cytat z wiersza Adama J. Czartoryskiego.

Ren

Grążele (chronione!) w stawie na łąkach przy al. Waszyngtona
Fot. Wiktor Pawłowski

Pomiędzy czytelników, którzy w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru nadeślą pod adresem redakcji (na kartach pocztowych z naklejonym kuponem) rozwiązanie krzyżówki i hasła, rozlosujemy KSIĄŻKI.

* PIECZYWO TOSTOWE *

Smaczne, porcjowane pieczywo tostowe o przedłużonym okresie trwałości – do nabycia w sklepach „SPOŁEM"

Cena opakowania – 10 zł

społem

„ZROBIENI W KONIA"

Tytuł ująłem w cudzysłów, albowiem cytuję w nim porzekadło z gwary ulicznej, która dzisiaj jest już salonową. Zdarza mi się to już po raz drugi, albowiem przed kilkoma miesiącami zatytułowałem jeden z felietonów z bykiem: „Nabici w butlę". W obu przypadkach rzeczownik ma podwójne znaczenie – metaforyczne (jako składnik „metafory" oznaczającej wyprowadzenie kogoś w pole) i dosłowne. O ile tam chodziło o trudności z napełnieniem turystycznej butli gazowej, o tyle teraz chodzi o obozy jeździeckie organizowane latem (czerwiec–wrzesień) przez warszawskie Ognisko TKKF „Wars". Ci, którzy dali się „Warsowi" namówić na koniki Anno Domini 77, otrzymali mocnego klapsa w miejsce stykające się z siodłem; otrzymali go wbrew swej woli i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu.

Konie są ostatnio modne, co może z czasem doprowadzić do tego, że wszyscy będą uprawiać sport konny, czyli do przywrócenia tradycji sarmackiej („Polak rodzi się w siodle"). W tym układzie brawa należą się coraz to liczniejszym placówkom, które urządzając kursy jazdy konnej i obozy jeździeckie, spełniają społeczne zapotrzebowanie. „Warsowi", który jest wśród tych spełniających należy się jak na razie reprymenda za pomocą szpicruty, przykrócenie wodzów (tak się zwie fachowo „lejce") i zawrócenie z drogi.

„Wars" zresztą nie od dziś uprawia swą działalność delikatnie mówiąc pechowo, a wodzów „Warsa" przywołano do porządku już w zeszłym roku. Swoje obozy „Wars" zlokalizował nad pięknym Jeziorem Bachotek (Pojezierze Brodnickie), gdzie w zeszłym roku otwarł podwoje położony w lesie budynek z sypialniami. Warszawiacy tłumnie skorzystali z oferty „Warsa" i jako uczestnicy kilku kolejnych, słono opłaconych turnusów, popędzili nad Bachotek, by tam przekonać się, iż nie będą mieli ani kropli ciepłej wody do mycia i jeść będą w warunkach, które ubliżałyby nawet higienie Papuasów (San-Epid był tego samego zdania, ale na zamknięcie „lokalu" nie zdecydował się z przyczyn nie wyjaśnionych). Złorzeczącym frajerom („Polak mądry po szkodzie") wysoki urzędnik z Olsztyna oświadczył: „To po cholere tu przyjeżdżacie, nam nie zależy!". Finałem było wysadzenie z siodła kierownictwa „Warsa" za – znowu delikatnie mówiąc – nieprawidłowości finansowe popełnione podczas trwania imprezy. Tak było w zeszłym roku. A w tym?

Otóż w tym nowe kierownictwo „Warsa" znowu szumnie rozreklamowało w prasie i radio swoje obozy jeździeckie, zapewniając zgłaszających się nowych frajerów, że za sumę 3800 zł znajdą się podczas 14 dni – cytuję kilka osób – „w luksusowym hotelu, w pokojach co prawda 3-osobowych, ale z łazienkami". Relacja poniższa dotyczy turnusu, który miał miejsce w dniach 17–31 lipca. Większość przybyłych uczestników z miejsca chciała wracać do domu, ale cuglami okazał się paragraf 6 Regulaminu „Warsa" mówiący: „Jeżeli uczestnik z jakiejkolwiek przyczyny opuści obóz przed zakończeniem turnusu, wpłata nie będzie zwracana". Zapłaciłeś z góry za kota w worku, więc siedź, bo milionerem nie jesteś i nie stać cię na machnięcie ręką na 4200 zł (wliczyłem obowiązkowe „koszty dodatkowe", jak wypożyczenie toczka jeździeckiego, kupno butów, podróż etc).

„Jakichkolwiek przyczyn" było kilka. „Luksusowy hotel" okazał się schroniskiem II kategorii (łóżko + koc, lokatorzy otrzymują szczotki i sami muszą sprzątać!), „pokoje" norami o straszliwie zawilgoconych ścianach (źle izolowane fundamenty na podmokłym terenie), „łazienki" wyposażonymi w umywalki kłozetami, z taką armaturą i tak zalanymi wodą, iż podobnych nie znajdzie się na żadnym dworcu (całość jest niechlubnym dziełem MPRB z Brodnicy), a na dodatek bez ciepłej wody do zmywania potu po jeździe konnej!!! Ze ścian od czasu do czasu lała się rzeżko woda (popękane rury), żarcie brano z garkuchni, w której od czasu do czasu nie myto naczyń i sztućców, bo brakowało wody w ogóle (kiedy zatruł się kierowca wycieczki z RFN, to dopiero była heca!), a wokół ani jednego stołu pingpongowego, boiska czy czegoś w tym rodzaju, chociaż miał to być obóz – cytuję Regulamin – „wypoczynkowo-rekreacyjny". Owszem, szkolenie jeździeckie było na wysokim poziomie, ale to zasługa trenerów i instruktorów, którzy stawali na głowie, by zatrzeć złe wrażenie wywołane przez ich macierzystą instytucję. Tylko że to szkolenie trwało godzinę dziennie, a dzień jak wiadomo ma 12 godzin, które trzeba było spędzać w koszmarnych warunkach „hotelowych". Czas umilały awantury urządzane raz po raz przez rozwścieczonych ludzi Bogu ducha winnemu kierownikowi tego przybytku, chociaż to nie on wyłudził pieniądze od warszawskich frajerów (nieustannie tłumaczył wszystkim, że nie jest to hotel, jak ich poinformowano, lecz najniższej kategorii schronisko i do tego tragicznie wykonane).

Po doświadczeniach zeszłorocznych „Wars" nie kiwnął palcem, by podnieść na wyższy poziom swą rzetelność i z krwią zimną tak, jak woda z kranów ośrodka Bachotek, „zrobił w konia" naiwnych warszawiaków. Proponuję – w imieniu bezradnych ofiar „Warsa" – by ktoś odpowiedni kiwnął palcem w celu uniemożliwienia „Warsowi" dalszych kombinacji tego typu.

WALDEMAR ŁYSIAK

■ Korzystając z gościnnych łamów „poczty" pragnę podzielić się pewnym projektem. Projekt ten dopomógłby nam, rozproszonym po całej Polsce – i dalej poza Polską – warszawiakom zorientować się w rozwoju stolicy – *pisze p. Halina Surdyk z Poznania.* Chodzi mianowicie o to, czy nie dałoby się doprowadzić do wydania planu obecnej Warszawy z dodatkową wkładką a raczej wkładkami dotyczącymi dawniejszych okresów Warszawy w tej samej skali wykonanymi na półprzejrzystym papierze (tzw. kalce). Po nałożeniu jednych na drugie – przy zastosowaniu kontrastowych kolorów dla oznaczenia ulic i podaniu odpowiedniego do okresu – nazewnictwa widziało by się naocznie, co powstaje w miejscach nam znanych, a już zaginionych, wchłoniętych przez współczesną Warszawę. Można by np. I planem objąć Warszawę Stanisławowską, potem następnymi XIX-wieczną, potem z okresu międzywojennego. Oczywiście, to jest szkic samego projektu – resztę opracowaliby historycy Warszawy oraz kartografowie".

Projekt wydaje się interesujący.

■ „W „Echu Krakowa" (295/76) jest rozmowa Marka Gajewskiego (PAP) ze Zdzisławem Mrożewskim. Pan Mrożewski gra rolę prezydenta RP – Gabriela Narutowicza (1865 – 16XII1922) w filmie Jerzego Kawalerowicza „Śmierć prezydenta". pisze p. Jan Walichnowski z Nowej Huty.

Jeżeli zdjęcie w „Echu", nie jest pomyłką, to „Narutowicz" – Mrożewski powinien się przecharakteryzować. Narutowicz miał wygląd dostojny, szlachetny i ubierał się po europejsku. Żył 57 lat. Pan Mrożewski „zrobił się" na osiemdziesięcioletniego famulusa w prowincjonalnym dworku szlacheckim – sprzed dwustu lat!"

Zdaje się, że film jest już na ukończeniu i słuszna uwaga naszego Czytelnika ma charakter bezprzedmiotowy.

■ Kto z Czytelników „Stolicy" posiada egzemplarze pisma „Echo Pragi" z drugiej połowy 1916 roku? Pismo było wydawane przez Towarzystwo Przyjaciół Pragi – *zapytuje p. Stefan Bujak 01-373 Warszawa 97 Jana Olbrachta 110/3.*

■ „Fakt, że do tej pory nie posiadamy w Polsce żadnego Muzeum Komunikacji Miejskiej, daje się wyraźnie zauważyć – *pisze p. Bogdan Pokropiński z Warszawy.*

Komunikacja Miejska istnieje w wielu polskich miastach, ale niektóre mają chlubnie tradycje w tej dziedzinie i historię. Ostatnio na ulicach Warszawy (oraz innych miast) pojawiły się nowoczesne wozy tramwajowe, które wyparły całkowicie wozy starego typu. Historia tramwajów Warszawy jest ciekawa i warto pomyśleć czy nie należałoby uratować kilka starych wagonów tramwajowych, które zgromadzono w zajezdni Młociny do likwidacji. Również w zajezdni na Kawęczyńskiej stoi do dziś stary wagon sieciowy (pomalowany niegdyś na żółto, obecnie już w stanie opłakanym). Jeszcze nie tak dawno MZK w Warszawie posiadały kilkanaście typów wagonów, niech chociaż kilka z nich trafi do muzeum, stanowić będą bardzo cenne obiekty za kilka lat.

Są kraje na świecie, gdzie muzealnictwo tramwajowe zaczyna coraz bardziej się rozwijać, nawet w miastach prowincjonalnych (Belgia, Francja, RFN, Austria, USA itd.). Nie proponuję żeby w Warszawie było wyłącznie Muzeum Tramwajów, ale niech to będzie Muzeum Komunikacji Miejskiej, gdzie swoje miejsce znajdą również obok tramwajów, trolejbusy, autobusy i wszelkie inne środki komunikacji miejskiej. Może to być muzeum centralne wszystkich miast polskich. Np. w Łodzi przy zajezdni MPK, istnieje dosyć ciekawa izba pamiątek, gdzie przechowuje się stare zdjęcia, książki, sztandary, odznaczenia itp. Jeszcze w Łodzi, Wrocławiu, Krakowie, Gdańsku można spotkać kilka starych wagonów tramwajowych, które liczą już ponad 50 lat. Istniały do niedawna tramwaje w Olsztynie, Jeleniej Górze, Wałbrzychu, Koszalinie, Słupsku a nawet w Tarnowie. Jest wielu ludzi entuzjastów, którzy interesują się tymi zagadnieniami i myślą, że obecnie jest już ostatnia chwila na stworzenie tego typu placówek, gdyż jutro wiele cennych eksponatów zostanie straconych bezpowrotnie" – *kończy swój list p. Bogdan Pokropiński.*

Ciekawy projekt naszego Czytelnika zasługuje na dyskusję i rozważenie. Władze miejskie powinny zainteresować się tą ideą.

■ *Ciekawy list otrzymaliśmy od Czytelnika, który podpisał się nieczytelnie.* „Jestem mieszkańcem Warszawy, zaś od 1949 roku zamieszkuję przy alei Niepodległości. zastanawiają mnie dwie sprawy, wiążące się z nazwą alej. – *pisze w swym liście.* 1. Przed wojną nazwa alej była: „Aleje Niepodległości". Nazwa piękna, analogiczna do Alej Ujazdowskich, wskazywała na określone rozwiązanie urbanistyczne; gdyż część Alej do dziś przebiega wzdłuż 4 rzędów drzew, z jezdnią pomiędzy dwiema alejami. Do dziś nazwę tę odczytać można na tablicach na rogach przecznic – od ul. Chałubińskiego do Wawelskiej i na tablicach z numerami domów. Obecnie odcinek alei od Wawelskiej do b. Dworca Południowego – to „aleja Niepodległości". byłbym za tym, aby utrzymać dawną nazwę „aleje" i odpowiednio, gdzie to jest możliwe, zasadzić po 4 szpalery drzew. W każdym razie trzeba ujednolicić mazwę. 2. Na Wierzbnie, pomiędzy ulicami Samochodową i Modzelewskiego istnieje mała ulica Niepodległości. Powoduje to szereg pomyłek, gdyż skróty nazw „al." i „ul." są zbliżone. Celowe może byłoby zmienić nazwę ul. N. na inną".

REDAKCJA: ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa, tel. centrali 21-50-58. Redaktor Naczelny: Leszek Wysznacki. WYDAWCA: Warszawskie Wyd. Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. 28-89-49. Prenumeratę dla odbiorców krajowych przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele – w terminach: – do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny; do 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnej 39 zł; półrocznej 78 zł; rocznej 156 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch". Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 – w terminach podanych dla prenumeraty krajowej. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
DRUK: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Okopowa 58/72, 01-042 Warszawa. Skład tekstów techniką „LINOTRON 505 TC". Zam. 1231. F-80, F-19. Nr indeksu 37636.

Rezultaty archeologów

Wyniki badań archeologów na pl. Zamkowym zostały udostępnione publiczności na wystawie w Muzeum Historycznym. W drugim etapie prac archeologowie ustalili lokalizację budynku kanclerza Mniszewskiego, kamienicy mieszczańskiej Semberga, kupca winnego Rafałowicza oraz Bramy Krakowskiej. Specjalną pozycję w badaniach ma budynek apteki królewskiej z XVIII w. znanej z opisu z 1769 r. Obecne badania wykryły również relikty budowy wcześniejszej, prawdopodobnie z końca XIV w. Odkryto fragmenty dwu ścian z widoczną nasadą sklepienia piwnicznego i portalem. Badacze postawili sobie zadanie dokładnego ustalenia daty powstania i rozbudowy apteki królewskiej. Są szanse znalezienia pod dawnym podwórcem apteki sprzętu i naczyń laboratoryjnych.

Pracami archeologicznymi kieruje p. mgr Aleksandra Świechowska, natomiast prace dokumentacyjne wykonuje Warszawskie Przedsiębiorstwo Geodezyjne pod kierownictwem Teresy Kanclerz. Tak więc panie rządzą na placu Zamkowym.

Wpłaty pieniężne

– 1.500 zł – Bank Spółdzielczy w Suwałkach
– 6.076 zł – Przedsiębiorstwo Elektryfikacji i Technicznej Obsługi Rolnictwa w Białymstoku
– 1.500 zł – Maciej Podłowski z Warszawy
– 1.500 zł – Władysław Salwa z Warszawy
– 3.450 zł – Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w Bydgoszczy
– 2.000 zł – Bank Spółdzielczy w Radziejowie Kujawskim
– 1.000 zł – G. S. „Samopomoc chłopska" w Opatówku
– 1.500 zł – Bank Spółdzielczy w Ostrowie Wielkopolskim
– 1.000 zł – p.p. Helena i Wacław Rzepko-Łascy z Bytomia
100 $ p. Józef Chocyk z Flint z USA.

Stan kont

Na konto krajowe w PKO wpłynęło 586.066.723,13 złotych. Na konto dewizowe w Banku PeKaO wpłynęło 695.830,36 dolarów.

Numery kont

Obywatelski Komitet Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie PKO I Oddział Warszawa Nr 1531-3030-132.

Oprocentowane konto dewizowe Banku PeKaO Nr E-100-700.

Roboty archeologiczne na pl. Zamkowym. *Fot. H. Jurko*

EWARYST MASŁOWSKI „EWEK"

Z WALK AL NA ŻOLIBORZU

Wstawał świt. Pogoda bardzo ładna.

– Będzie gorąco – mówi „Stefan". Rzeczywiście, Niemcy szykują się do decydującego natarcia. Przygotowanie artyleryjskie wzmaga się. Lawina ognia runęła na żoliborskie domy.

Żegnam się z matką. W alei Wojska Polskiego, skąd wczoraj wyrwałem się na przepustkę, a za mną gonią pociski, całe serie. Taszczę wyładowany plecak. Są w nim zapasowe bębny do pepeszy i cztery pudełka amunicji.

Nagle robi mi się ciemno w oczach. Padam na ziemię. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Tylko myśl błądzi w podświadomości że przecież muszę w aleję Wojska... Na szyi czuję ciepłą ciecz, to krew. Skąd ta krew?...

W punkcie opatrunkowym lekarz AL, towarzysz „Kazik"-Szczypiorski patrzy na mnie i uśmiecha się.

– Masz szczęście. Jeszcze pół centymetra i kapota z ciebie – słyszę nad sobą jego głos.

Okazało się, że trafił mnie odłamek, który szybko został usunięty. Obandażowany opuszczam punkt sanitarny. Biegnę ulicami: Suzina, Hozjusza, potem Niegolewskiego do alei Wojska. Trudno się przedostać. Artyleria i działa czołgowe wroga poroznosiły nasze stanowiska obronne. Niemcy dokonali tego nie zbliżając się zbytnio do naszych pozycji. Teraz dopiero ruszają czołgi. Jazgot gąsienic i silników coraz wyraźniejszy. Spoza resztek barykady ukazują się ciężkie sylwetki „tygrysów" i „panter". Nieprzyjemne to uczucie, gdy się patrzy w lufę działa czołgowego.

– Przygotować butelki zapalające!

Odór płonącej ropy. Tak chyba śmierdzi w piekle... Za czołgami dostrzegam biegnącą piechotę niemiecką. Działko czołgowe raz po raz daje ognia. Celny strzał z karabinu przeciwpancernego zatrzymuje czołg w miejscu. Wokół niego snuje się czarny, gryzący dym. Właz czołgu otwiera się i wyskakują z niego „czarne diabły" – tak nazywali sami siebie. Serie automatów powstańczych koszą ich na miejscu. Od strony Powązek nadciągają posiłki czołgów i piechoty niemieckiej. Kierują się w stronę alei Wojska. Serie broni maszynowej koszą tynk, liście drzew, dachówki. Płyty z barykad fruwają jak papierowe.

A alei Wojska nie ma gdzie już się bronić. „Czwartacy" ostrzeliwują się jeszcze w gruzach domków, które nie stanowią jednak żadnej osłony. Nie ma też łączności między oddziałami, a nawet pojedynczymi żołnierzami. Jeden z pocisków trafił na domiar złego w nasz magazyn amunicyjny. Obrona zaczyna się załamywać. W pewnym momencie orientujemy się, że Niemcy są już przy ulicy Niegolewskiego, a my jeszcze w alei Wojska. Podejmujemy rozpaczliwy atak na nieprzyjaciela, zachodząc go od tyłu. Dezorientuje to Niemców na krótki czas. Powstaje zamieszanie, walka toczy się teraz wzdłuż ulic Niegolewskiego i Felińskiego. Strzelam do biegnących piechurów. W pewnym momencie zacina mi się pepesza. Jestem bliski płaczu. W głowie huczy. Obok czołga się „Grażyna". W ręku trzyma pepeszę, którą wymieniam z nią na waltera. Dookoła słychać warkot czołgów. Oddziały „Czwartaków" przemieszały się z oddziałami akowskimi. Zniknęły różnice – są tylko powstańcy i jest jeden wspólny wróg.

– Uwaga: Niemcy nałożyli biało-czerwone opaski – ostrzega ktoś z powstańców.

Faktycznie. Podszywają się pod powstańców.

W parku między ulicami Niegolewskiego i Kossaka nasza obsługa cekaemu przygotowuje się do natarcia. Z prawego skrzydła Niemców nie ma. Przyplątał się do nas jakiś mały chłopczyna – Wicuś, może ośmioletni. Chwytam go za rączkę i biegnę w stronę ulicy Hozjusza. Niemcy dostrzegli nas. Posyłają serie. Dokoła pełno trupów i rannych. Przed plebanią na bruku leży ciężko ranny „czwartak". Dostał postrzał w brzuch. Błaga mnie, bym go dobił... Pocieszam go, że zaraz będą tutaj sanitariuszki, ale wiem, że to nieprawda... biegnę dalej z chłopcem.

Kiedy po godzinie wracam na ten odcinek, ranny już nie żyje. Siadłem obok niego w zadumie, z której wyrwał mnie głos „Sępa" – Stanisława Pastucha:

– Nie czas na odpoczynek, odpoczniesz w niebie!

Siada jednak i on obok mnie, zapalamy papierosa. Za chwilę schodzimy do rowów koło kościoła. W kościele są Ukraińcy. Nie wiem, czy dlatego, że są pijani, czy żeby dodać sobie otuchy, bardzo hałasują.

Jeszcze kilka razy kościół i plebania przechodzą z rąk do rąk. Jakiś granat wpada do kościoła i eksploduje. Stoimy w rowie strzeleckim. Podchodzi do mnie „Leon".

– Wiesz, że zginął „Fučik?" – pyta.

– Nie – odpowiadam bezwiednie. Nie dociera ta wiadomość do mojej świadomości. Po chwili dopiero zastanawiam się, co powie jego matka – to już trzeci syn... Przypominam sobie, jak go poznałem. Było ich trzech braci. Niewesołe mieli życie. Choć pragnęli, jak inne dzieci, dzielić czas na naukę i zabawę, nie mogli sobie na to pozwolić. Głód często wypędzał ich na ulicę, by tam szukać kawałka chleba. Można ich było widzieć trzepiących cudze dywany, bądź dźwigających bagaże na dworcach.

Pierwsze lekcje socjalistycznego myślenia, kolektywnego i społecznego życia otrzymali w szkole RTPD i Czerwonym Harcerstwie na Żoliborzu. Wybuch wojny pogorszył jeszcze sytuację materialną rodziny. Najstarszy z braci Wojtek, odszedł do Partyzantki GL. Ciężar utrzymania rodziny spadł na barki „Bobka", który uczył się w szkole handlowej i pracował ze zdwojoną siłą. Sklecił sobie wózek, którym rozwoził towary. Od Wojtka przychodziły skąpe wieści, ale młodsi bracia Sommerowie dumni byli z brata w oddziale partyzanckim.

Pod koniec 1942 roku przyszła wiadomość, że Wojtek poległ w bitwie z hitlerowcami, stoczonej przez oddział „Małego Franka" w rejonie Piotrkowa.

„Bobek" – Bogusław Sommer, choć przygnębiony śmiercią brata, nie załamał się jednak. Działał wśród kolegów szkolnych, nawoływał do walki z wrogiem. Chciał pomścić brata. W 1943 roku „Bobek" na własną rękę nawiązuje kontakt ze Związkiem Walki Młodych i od pierwszych chwil staje się jednym z najbardziej oddanych bojowników Żoliborza. Kolportaż prasy podziemnej, malowanie haseł na murach, zdobywanie broni – to zadania „Bobka". Pewnego dnia, kiedy szedł obładowany bibułą, natknął się na patrol żandarmerii. Wezwany do podniesienia rąk, rzucił się do ucieczki. Padł przeszyty serią kul.

Najmłodszy, Stefan Sommer, zwany przez nas „Fučikiem" miał zaledwie trzynaście lat. Bez wahania włączył się do czynnej walki. Przydzielony do żoliborskiej organizacji ZWM, trafił wkrótce w szeregi „Czwartaków". Po ukończeniu kursu wojskowego stał się wartościowym żołnierzem. Po wybuchu Powstania walczył w szeregach AL na Żoliborzu.

Powstanie dogorywało. Hitlerowcy rzucili przeciwko powstańcom przeważające siły. Od strony Dworca Gdańskiego i Instytutu Chemicznego nadciągało niemieckie żołdactwo. „Fučik" z garstką „Czwartaków" utrzymywał barykadę u wylotu ulicy Brodzińskiego. Jego pepesza strzelała najwięcej i najcelniej.

– To za Wojtka! To za Bobka! – wołał, rzucając granaty.

Niemcy zaatakowali z flanki. „Fučik" nie usłyszał ostrzeżeń towarzyszy. Nie wycofał się. Czołg strzelał w barykadę. Barykada odpowiadała butelkami zapalającymi. Wkrótce umilkła. Na jej gruzach, wciśnięty w załom rozbitego muru, siedział „Fučik", trzymając w ręce potrzaskaną pepeszę. Wyglądał jak zmęczony, drzemiący żołnierz. Tak zginął w przeddzień upadku Powstania trzeci z braci Sommerów.

Ale nie czas na rozpamiętywanie. Ruszamy do kolejnego ataku na plebanię. Nie wiem już sam, co lepsze: atak, czy obrona? Idziemy na oślep, strzelamy mechanicznie i tak samo rzucamy granatami. Ukraińcy wyparci. Czołgi dały nam spokój, gdyż zapadły ciemności. Czuję ogromne zmęczenie i senność. Pragnę jedynie trochę odpocząć, choć chwilkę zdrzemnąć się. Ale rozkaz kieruje nas na nową pozycję...

ROMAN ROGOWSKI

JEDNA Z NAJPIĘK NIEJSZYCH

Ostatnio tygodnik „Stolica" zamieszczał w paru numerach wspomnienia oraz portrety i fotografie znanych z talentu i urody: Elżbiety Barszczewskiej, Poli Negri i „Miss Polonii" Zofii Batyckiej.

Do tej wiązanki pięknych i utalentowanych pań pragnę dołączyć wspomnienie o znanej kiedyś artystce Helenie Makowskiej.

Helena Makowska urodziła się 3 marca 1893 r. w miejscowości Szmakówka w pobliżu miasta Krzywy Róg – stolicy zagłębia rudy żelaznej. Rodzicami jej byli Wojciech i Stanisława, z domu de Sauret, Woyniewiczowie. Inżynier W. Woyniewicz był dyrektorem kopalni Szmakówka, należącej do Południowo-rosyjskiego Towarzystwa Metalurgicznego, którego główna siedziba znajdowała się w Zaporożje-Kamieńskoje nad Dnieprem. Twórcą tego kombinatu ciężkiego przemysłu był Polak, naczelny dyrektor Ignacy Jasiukiewicz.

Na tej bogatej stepowej ziemi Dzikich Pól sienkiewiczowskich spędziła swoje dzieciństwo i młodzieńcze lata Helena Makowska.

Obdarzona wyjątkową urodą po matce, która była krewną sławnej aktorki Romany Popiel-Święckiej (zwanej Popielką) jak się później okazało, nie tylko odziedziczyła urodę, ale i zdolności aktorskie.

Przed pierwszą wojną światową sfery zamożniejsze wyjeżdżały na Zachód do zagranicznych „badów". Może najbardziej modną i uczęszczaną miejscowością była Ostenda, słynna z kąpieli morskich, piaszczystych plaż, promenady wzdłuż morza wykładanej kafelkami (digue) słynęła z wielkiej frekwencji. Nie brakło tam i innych rozrywek jak wyścigi konne, występy znakomitych artystów, no i wspaniałe kasyno gry, w którego bocznych salach odbywały się „reuniony" i bale.

Rodzina Woyniewiczów często odwiedzała Ostendę w letnich miesiącach, a piękne panie Woyniewicz, matka i córka, brylowały wśród eleganckich międzynarodowych gości, uzyskując miano „les deux belles Polonaises".

Relacjonował mi mój ojciec, przyjaciel państwa Woyniewiczów, który czasem wstępował do Ostendy w czasie swych podróży, że panie Woyniewicz ubrane według ówczesnej mody, w dużych słomkowych kapeluszach z parasolkami koronkowymi, swymi wytwornymi sylwetkami i wybitną urodą wzbudzały zachwyt wśród publiczności.

To były pierwsze „występy" późniejszej Heleny Makowskiej. Należy zaznaczyć, że Helena Woyniewicz bardzo wcześnie wyszła za mąż, za warszawskiego kupca Makowskiego, ale małżeństwo to było krótkotrwałe. Następnie pojechała na studia do Włoch i zamieszkała w Rzymie, gdzie uczęszczała do szkoły dramatycznej i była uczennicą słynnej śpiewaczki Marii Labia.

Pod koniec pierwszej wojny światowej Helena Makowska, mieszkając w Rzymie, z powodzeniem debiutowała we włoskich filmach. W tym czasie przeżyła wielką tragedię, gdyż na jej oczach w katastrofie lotniczej zginął jej narzeczony, Włoch, śmiercią lotnika.

W 1922 r. powróciła do Warszawy, którą opuściła w 1915 r. jako młoda rozwódka, a teraz przyjechała z Rzymu po włoskich triumfach już opromieniona sławą filmowej gwiazdy i zamieszkała u rodziców przy ul. Hożej nr 45.

Do Warszawy dochodziły wieści, że wśród jej adoratorów niepoślednią rolę odegrał książe Umberto, następca tronu włoskiego. Wobec uczuciowego zaangażowania księcia, koła dworskie w obawie o losy tronu, stworzyły bardzo nieprzychylną atmosferę dla artystki, starając się uprzykrzyć jej pobyt we Włoszech, nawet rozpuszczono pogłoskę, iż Helena Makowska posiada urok zwany „malocchio" (zły urok spojrzenia). Tym niemniej do jej śmierci wierny Umberto troszczył się o jej byt. Tak zwierzała się swojej przyjaciółce.

W 1924 r. kreowała główną rolę w filmie polskim „Kiedy kobieta zdradza męża", w następnym filmie tegoż roku grała w „Czerwonym błaźnie", a w 1927 r. w filmie „Kochanka Szamoty" według powieści Grelińskiego. Również występowała wielokrotnie w różnych teatrach rewiowych. W 1930 r. grała główną rolę w komedii muzycznej Oskara Sztraussa „Kobieta która wie czego chce" w „Teatrze 8.30", na Mokotowskiej. Partnerką jej była Ola Obarska, która grała rolę jej córki. Komedia ta nie schodziła z afisza przez wiele miesięcy.

W następnym roku impresario Stokowski zaaranżował tournée po Polsce tego teatru, które uwieńczone zostało powodzeniem. Aktorka w czasie pobytu w Warszawie wyszła za mąż za Anglika Botterilla, przedstawiciela firmy Vickers. Małżeństwo nie było szczęśliwe. Wkrótce się rozeszli.

Helena Makowska przed samą drugą wojną światową wyjechała do Włoch, odnalazła swoich dawnych przyjaciół, wśród nich Marię Labia, znaną profesor śpiewu... Z tego okresu pochodzi parę jej filmów, między innymi „Walizka snów" (1954 r.), w którym kreowała dawną gwiazdę filmową w roli widza, robiącego przegląd swoich najlepszych filmów (film ten był wyświetlany w Polsce). Do kraju już nie powróciła i zmarła w Ostii.

Los czasem przekornie wyznacza ścieżki życia ludzkiego, nie szczędząc niespodzianek, upadków i wzlotów. Tak też układało się życie Heleny Makowskiej. Dzieciństwo jej kołysały ciepłe podmuchy stepowe wiatrów wiejących od Morza Czarnego.

Bywając, jako dorastająca panienka, w domu właścicielki Szmakówki, pani Szmakowej, „grande dame" dawnego pokroju, poznała tam styl życia domu prowadzonego szerokim gestem, gdyż nie darmo ruda żelazna dostarczała właścicielce pokaźnych funduszy. Tak było na wakacjach. A okresy szkolne spędzała w Warszawie chodząc na pensję. W tym okresie uczęszczała do warszawskich teatrów i do słynnej operetki zachwyczając się Messalką i Kawecką – pochłonęła bakcyl sceny

Długie lata spędzone w słonecznej Italii, którą nazywała „drugą ojczyzną", wyrobiły w niej poczucie piękna a szkoła filmowa i teatralna w Rzymie ukształtowały postać wybitnej artystki

Choć przebywała w krajach o różnych kulturach pozostała polską patriotką, a żegnając się z Olą Obarską w 1960 r. w Rzymie, w czasie olimpiady, powiedziała: „Za dwa lata do zobaczenia w Polsce".

Z WARSZAWSKIEGO ALBUMU

BIAŁY DOMEK W ŁAZIENKACH, pocztówkę, wydaną w latach międzywojennych nakładem Polskiego Towarzystwa Księgarni Kolejowych „RUCH", nadesłał pan Włodzimierz Kędra z Warszawy. Na pocztówce zreprodukowano akwarelę piewcy uroków Starej Warszawy – Mariana Trzebińskiego. NiedużY, kwadratowy pawilon o dwudziestu identycznych porte-fenêtre'ach, zwany popularnie Białym Domkiem powstał na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XVIII wieku, prawdopodobnie według projektu Dominika Merliniego. Jak wynika z zachowanej ilustracji Włodzimierza Vogla, budyneczek był otoczony wokół kanałem. Do dziś dotrwały w bardzo dobrym stanie dekoracje wnętrz, na szczególną uwagę zasługują malowidła groteskowe w pokoju stołowym, wzorowane na freskach loggii Rafaelowskich w Watykanie. Legenda głosi, iż w Białym Domu mieszkała morganatyczna żona Stanisława Augusta, Elżbieta Grabowska, natomiast źródła pisane mówią, że przebywały tu siostry króla: Izabela Branicka i Ludwika Maria Zamoyska oraz Teresa Poniatowska – matka ks. Józefa. **(FGJ)**

TADEUSZ ŁOŚ

* * *

Już świątyń ci stawiać nie nadążę
tkać przestrzeni dla dalekiego głosu
nie wiem czy stoisz po tamtej stronie
wołania

i niby motyl
strącasz skrzydła
w kielich tulipana
lub płyniesz
przy napiętych żaglach nocy

czy kto usłyszy
moją rozmowę
z echem